№ 2 Warszawa, dnia 27 Grudnia (8 Stycznia) 1880|1 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

WESELE SONKI.

(Powieść z prawdziwego zdarzenia)

napisała

ROMANIA KAMIEŃSKA.

(Dalszy ciąg).

II.

Powietrze tętni gromowym hukiem,
Już na dziedziniec z krzykiem i stukiem,
Wkraczają wozy zgrai weselnej;
Ojciec i matka w roli naczelnej,
Z chlebem i solą, z świętym obrazem,
Z rzewnym i dumnym w twarzy wyrazem,
Idą powitać zamężną parę,
Co rzuca blaski na dni ich stare.
Córka im kornie do nóg się chyli,
By ją zamężną błogosławili,
Bojary dziewę podnoszą z ziemi,
A swachy wiodą pieśniami swemi
Za stół do chaty, i zapraszają
I na *pokutiu* (pierwsze miejsce) ze czcią sa-[dzają.
W chacie gorąco, duszno jak w łaźni,
Swachy zawodzą, aż duszę drażni,
Na stole dymią w misach potrawy,
W butelkach błyszczą różnej przyprawy
Wódki — nalewki — we dzbanach piwo;
Ojciec i matka krzątają żywo,
Częstują gości, proszą, całują,
Tego kiełbasą pieprzną fetują,
Tamtemu w kielich leją gorzałkę,
Stawią barszcz z mięsem, *łokszyn* (makaron) [podpałkę,
Wołową pieczeń, z serem pierogi —
Nie żal im kosztu dla doni drogiej.

Sonka w weselny rozgwar porwana,
Jak nieprzytomna, jak obłąkana,
Jak konający topielec w toni,
Ni się opiera, ani się broni,
Taka już dola jej zgotowana,
Walka daremna i wyczerpana!
Ust jej korale siność pochłania,
Głowa bezwładnie na dół się słania,
Znać struna czucia w piersiach zamiera,
Bo z ócz zniszczenia łuna wyziera,
Ta straszna łuna, co z swego łona,
Wyrzuca popiół w chwili, gdy kona.

III.

Matka dostrzega, jak żółkną skronie,
Bierze dłoń dziewy w swe grube dłonie,
I uprowadza w zacienia sadu —
Już jej nie miły koniec obiadu.
Nad skrajem drogi wzgórze szerokie,
Wzrasta w szarawą rzeki opokę,
Osnute cieniem brzóz i leszczyny;
Tam śpiewa słowik dla swej rodziny,
Bujają z wiosną pierwsze skowronki:
To ustroń miła znajoma Sonki.
Tam śledząc co rok ptasząt zabawy,
Z lubym woniące zrywała trawy,
Tam on jej śpiewał pieśni nieznane,
Patrząc w jej lica szczęściem rumiane;
I wiarą serca tam ją podarzył,
Tam z nią rozmawiał, tam o niej marzył,
I tam w złowrogiej chwili rozstania,
Z cichych ostatnich słów pożegnania,
Urosł kwiat bólu w sercu dziewczyny,
Z kolczatym liściem, z żądłem gadziny...
U stóp pagórza Słucz sina płynie,
Z lasu wyrasta, na błoniach ginie,
Tocząc swe nurty zwinnemi skręty;
Nad Słuczą — olbrzym w bezdniach poczęty,
Skała posępnie buja wysoka,
Pod skałą przepaść czarna — głęboka...
Ustroń urocza dla tęsknej myśli,
Czary jej czułe serce określi
Najsilniej w chwili, gdy duch znękany,
Oblicza życia ciosy i rany.
Dokoła widok godny malarza,
Coraz to nowym wdziękiem obdarza.
Tu cień śle tajny w lesistą puszczę,
Tam wstęga wody w żwirach się pluszcze,
I biorąc śluby ze świateł panem,
Świetne tajnice niebu odkrada;
Dolina zdobna w ziół miryady,
Opiera czoło o wzgórz kaskady,
Gdzie gwarzy cicho dzwonek z tymianem;
Tu bukiet wiąże krzewów gromada,
W dali siół długich majaczą sznury,
Przez lazur płyną wędrowne chmury —
O jest tam przed czem serce otworzyć,
Jest gdzie westchnienie i łzę położyć!
To też i Sonka, z śmiercią na czole,
Przyszła tam złożyć swe ziemskie bole.

Matka ją tuli, układa w cieniu,
Opiera głowę na swem ramieniu,
Spoziera w oczy, żalem się jedna,
I woła: dolo ty moja biedna!

„O biedna dola! świat jak mogiła!...
Czemuś mnie matko nie utopiła,
Gdym dzień ujrzała? Toż są narody,
Ludziom już dzisiaj w powieści znane,
Gdzie te ofiary płcią naszą zwane,
Ledwie dzień ujrzą, w głębinach wody
Kryją wraz z życiem przyszłość na wieki,
Dłoniami matek własnych grzebane —
Wyście tak blizko mieszkali rzeki”...
„Nie rań mi serca, ptaszko jedyna!

Bóg widzi w niebie: nie moja wina.
W jasny dzień, w pracy, śród nocnej ciszy,
Bywało serce boleść twą słyszy!
I wznoszę drżące z modlitwą ręce,
Ku świętym Pańskim, ku Bożej męce:
Niech on powróci! niech on powróci! —
Ha! czyśmy z łaski Bożej wyzuci,
Czy kto wzniósł na nas oko urocze!
Miał przecież pisać... mija półrocze,
I pisma nie ma i jego nie ma...
A tu przed ludźmi świeć-że oczyma!
Ten coś przebąknie, ten zadrwi ścicha,
A ojciec kipi, po nocach wzdycha,
Wreszcie powiedział jednego rana,
Gdy jakoś wrócił od kapitana:
Daremno żonko! córka przepadnie...
Trzeba coś myśléć... opuścił zdradnie...
Inne mu ponoś zwierzono roty —
Sonka się dowie, umrze z gryzoty,
Jeśli ją za mąż wraz nie wydamy —
Aż tu ja patrzę: swaty u bramy!
Ehe!... już w chacie!... brzęk, brzęk, w kie-
[lichy!

Nudno mi; ojciec wprzód taki cichy,
Taki potulny, gadać nie daje:
Swatać, ta swatać! — ja proszę, łaję,
Choć głowę zetnij! ot, i nabroił!
Na dwoje życie dziecka rozkroił!...
Dziewica słucha opowiadania
Cicho, spokojnie, a głuche łkania
Targają piersią biednej macierzy:
Opowieść znana — córka jej wierzy.
„Idźcie, matulu, idźcie do gości!
Ja tu zostanę śnić o przeszłości;
Może umocnię znękane siły,
I pójdę śmielej do tej mogiły,
Co ludzie losem moim nazwali...
Tu świeższy powiew bije od fali,
Ochłodzę nieco zognione czoło" —
I zarzucając ramiona wkoło
Szyi matczynej, uścisk gorący
Złożyła na jej policzek drżący.

Zniknięcia *młodej* nikt nie dostrzega,
Ona z pokłonem sioło obiega,
Jak to w zwyczaju na całej Rusi;
Wreszcie weselni ślepi i głusi,
Istne upiory! — darmoż wiwaty
Dzień cały huczą w obrębie chaty?
Taka pielgrzymka, w wieńcu dziewczyny,
Trwa do spóźnionej nocnej godziny.
Pan młody także sioło obchodzi,
Strzegąc się wkraczać, gdzie *młoda* wchodzi,
Bo to zła wróżba, gdy zaślubieni
Zejdą się z sobą u jednej sieni.
W tym czasie swachy, z wielką uciechą,
Pieką korowaj pod *młodej* strzechą,
I święcą pieśnią życia jej czyny,
Strojąc go w pęki wstąg i kaliny.
Już nocy gwiazda złote swe oczy
Dawno na łono ziemi zatoczy,
A one jeszcze babrzą się w dzieży...
Lecz cyt! ktoś konno ulicą bieży;
To w gronie rażnych bojarów *młody*
Jedzie się wpraszać do tej gospody.
Zamknięto bramę — oho! złodzieje,
Chcą dojrzeć, co tu w izbie się dzieje!
Niech sobie stoją, niechaj czekają!
Komu to miło z rabusiów zgrają
Zabrać znajomość? — Bojary płaczą,
A swachy słodką wódką się raczą.
W końcu wybiegną chyżo w podwórko,
Kraśne jak róże, lekkie jak piórko,
(Weselne swachy młode być muszą),
I nową pieśnią echa poruszą.
Grajek im żwawe tańce rzępoli —
Toż się nahasa każda do woli!
Cóż ztąd że północ patrzy już z nieba?
Dwanaście tańców przetańczyć trzeba;
To liczba święta — księżyc ją pisze
W owej kolebce, co świat kołysze.
Pot z pod kapturów płynie strumieniem,
Kniaź i bojary rosną kamieniem,
Stojąc pod bramą a swacha jeszcze
Tańczy, wykrzyka i w dłonie pleszcze,
Wpuśćcie już swachy! czyż tak się godzi?
O, jak tu wpuścić? matka zawodzi,
I *młoda* szlocha siedząc za stołem,
Z schyloną głową, oparta czołem
Na bochen chleba — przy niej stoi
Brat z miną groźną — już coś nabroi...
Niech pokutuje kniaź za swą winę —
Nie tak to łatwo posiąść dziewczynę!
Przed drzwiami swacha go poturbuje,
A w chacie brat się z nim potarguje:
Nie da okupu — Nie weźmie żony,
Do niej mu każdy krok utrudniony.
Kniaź już z kieszeni pieniądz dobywa,
Nowa zapora! — druchna złośliwa
Widząc iż brat swą siostrę opuszcza,
Do wojny grono dziewcząt poduszcza,
I opasują *młoduchę* wiankiem,
Walka się skończy chyba nad rankiem.
O nie! kniaź figlarz na ławę skoczy,
I zerwie chustę i spojrzy w oczy
Swojej wybranej — gawiedź w śmiech pusta,
A kniaź kniachinię całuje w usta.

Tak pośród szumu hucznej biesiady,
Przebiega nocka z druchy, sąsiady;
A pod jej koniec, gdy złote słońce,
W spójrzeniu jutrzni wyśle swe gońce,
Zbierają *młodej* sztuki wyprawy:
Kożuch, pierzynę, chustki, rękawy *)
I złądowawszy tem wnętrze skrzyni,
Oddają korną cześć gospodyni,
Kryją namitką *młoduchy* czoło,
I zaszumiawszy pieśnią wesołą,
Jak owo gęsi spłoszone stado,
Na nową ucztę do świekry jadą.

III.

Ciemny bór szumi nad drogą bitą,
Na łanach żółte chwieje się żyto,
Brzozy i dęby pieśń dnia skończyły,
Na lazur godła nocy wstąpiły.
Traktem pomyka trójka bułana,
Rozwiała grzywy i leci gnana
Biczem i dzwonem; tuman się wzbija,
Wóz perekładny (pocztowy) pędzi i mija
Doły i wzgórza, gaje i łany,
A jemszczyk (woźnica pocztowy) krzyczy: hej!
[wio! bułany!

Dzwonek się rozległ szerokim tonem
W przestworzu, rosą mroku zwilżonem,
Zbudził niejedno uśpione ptaszę,
Wstrzymał dążący ludek w poddasze
Z biesiady święta — przy chatnich wrotach,
Od wiejskiej dziatwy, w rowach przy płotach,
Schwycił do ziemi korne pokłony,
I znikł powietrza falą niesiony.

Na *perekładnej*, którą dzwon głosi
I trzy pocztowych koni unosi,
Młodzieniec cały kurzem okryty,
Mimo podskoków siedzi jak wryty.
Wzrok posłał naprzód, dłońmi sparł boki
I zda się myślą wyprzedzać kroki
Pocztowej trójki; gdy dążąc w górę
Konie bieg zwolnią, brwi ściąga w chmurę,
Stojącą obok chwyta szablicę
I — ruszaj! — z ogniem gromi woźnicę.

Srebro połyska mu u kołpaka,
A cała mina zdradza wojaka:
Plecy szerokie, w górę ramiona,
Smukły, jak topol, pierś wyprężona,
A gdy gwiazd smugi miękim swym tonem
Tkną mu oblicze, w oku wzniesionem
Widać grające ducha płomienie,
Serca lub myśli silne wzburzenie.

Pognała trójka, w szarej oddali
Już tylko taśma z tumanów fali...
Już minął wzgórze, cichą dolinę,
Szumiącą bujnym kłosem równinę,
Brzozowy lasek z liściem zielonym,
I parów z mostkiem w pół roztrzęsionym, —
Piętrzy się góra, niżej wieś biała
Skromny swój kontur zarysowała
Na tle ciemności — potok księżyca
Mył złotą falą wdzięczne jej lica.

Powietrze wonią lata pieszczone
Niesie mgły srebrne w gwiaździstą stronę,
Ich sieć szeroko łąki otula;
Niekiedy wietrzyk w lesie zachula,
Rozbudzi liście na drzewa szczycie,
I z drobnem ziółkiem mknie gwarzyć skrycie.
O! tak uroczo w polu i w lesie,
Tylko na kwiatach kołysać chce się...
Młodzian wytężył oko w dal czarną,
Nagle go ognie trwogi ogarną,
Myśli zaszumią jak rzeka z wiosną,
Dusza coś zrywa z chwilą radosną:
Zda się, że czucie co świat kołysze,
W sercu mu głoski zwątpienia pisze.
Lecz już widnieje znajome wzgórze,
Kundysów chatnich słychać szczekanie...
W ogrójcu cierpień — nadziei róże,
Chwila — wnet błogość zmartwych po-
[wstanie,
W otchłań bezzwrotnie zapadną burze...

Wesele huczy, czasem przycichnie,
Gdy pjany grajek bieg smyczka zwichnie
I dłoń zmęczoną spuści ku ziemi,
Wodząc oczami w okrąg szklanemi,
Póki obrzmiałej ciężar powieki,
Nie zwabi sennych duchów opieki,
To znów w powietrzu burza się zrywa,
Smyczek grajkowi po nosie kiwa,
Bo ktoś mu kułak pod łokieć wsadza:
Dym szału bucha — płomień i sadza...

Sonka nie słyszy weselnej wrzawy,
Skupiona w sobie dusza jej cała,
Odbłyskiem światła własnego pała,
Śledzi bieg własnej, krwawej zabawy.
Dokoła tylko noc i niebiosy
I łono Boże, co żal jej słyszy,
Serce zatętni głośniej wśród ciszy,

---

*) Rękawy, t. j. kawałki płótna na rękawy, stanowią część ślubnych podarków i należą do wyprawy.

Pytania niby pod sierpem kłosy,
Mnożą się, rosną — już tłum ich stoi,
A odpowiedzieć serce się boi.

Gdzie on? czy żyje? czemu nie wraca?
Nie czuje wcale, że ją utraca?
Więc w męzkiej piersi czucia tak mało!...
Powiedzcie gwiazdy, co z nim się stało!
Chory — nie żyje — w więzach niedoli —
Albo jak ona nie ma swej woli?
Czemuż o sobie żądanej wieści,
Choć w szumie wichru jej nie obwieści?
Czemu nie zjedna dziadula z lirą
Prośbą gorącą, serdeczną, szczerą,
By niosąc w ręku kij swój sękaty.
Zabłądził sobie w progi jej chaty,
I snując z liry przewlekłe tony,
Wyśpiewał gdzie jest jej ulubiony?
Może on prosił, ale dziad stary
Lubiący wiejskie tany i gwary,
W jakiem się długo zatrzymał siole,
Niepomny na jej serdeczne bole!
Może i wietrzyk co już niósł do niej,
Ale ta chmura co grady roni,
Drogę zabiegła z kul zimnych stosem,
I wieść ubiła lodowym ciosem!
Wreszcie — któż zgadnie? — może gdy ona
Żalem szarpana, bólem gnieciona,
Duszę swą z wiary weń ogałaca,
On o niej myśli, do niej powraca...
Może już przebył większą część drogi?...
A ją tak zwiedli ludziska — wrogi!...
Może już bliżej — przed samem siołem?...
O! jakich że to chórów aniołem
Tę myśl — wybrankę zsyłają nieba!
Konającemu z uwiędłem czołem,
Czegoż tu jeszcze więcej potrzeba,
Jak ujrzeć nagle niebo otwarte,
I rzucić życia skończoną kartę
W skrzydła cheruba! — i z drżeniem w łonie
Gdy w takich myślach dziewica tonie
Włócząc po trawie rozwiane włosy:
Rumieńcem zagra blada jagoda.
I jak do słońca latorośl młoda,
Oko i duszę wzniesie w niebiosy.

Noc już oddawna ciemne swe szaty
Zwlekła na pola, lasy i chaty;
Cicho na ziemi, a po nad ziemią,
Gwiazdziste światy poważnie drzemią,
W żartkim uścisku łącząc swe tchnienie;
Świetlanych dźwięków urocze brzmienie
Spływa w ton jeden; tylko wietrznice,
Te gwiazdki błędne, te swawolnice,
Kręcą się z sobą, za sobą gonią
I skrzące bryzgi na ziemię ronią.
Blask ich nie w jedno kwiecie ugodzi,
To wgłąb się zwije, tamto narodzi,
A inne główkę ku ziemi schyli,
I na jej piersi spoczynku chwili
Użyje sobie słodko, spokojnie...
Rosa łzy srebrne rozrzuca hojnie,
Woń miękkie dymy na poziom wieje,
Wszędzie się rozkosz tajemna śmieje.
I w Sonki serce zasnute nocą.
Cisną się blaski, z mgłami szamocą —
Nić tęsknych marzeń z duszy wysnuta,
Płonie zielenią jak młoda ruta,
Jak źdźbło uwiędłe zimowej trawy,
Na którą wietrzyk wionął łaskawy.
Tłoczą się w tęsknej duszy gromadnie
Dawne wspomnienia, szybko, bezładnie,
Wiążą się z sobą, plączą, ściskają.
Szybują w przeszłość i rozwierają
Skarbiec pamiątek, który jej skrycie
Pysznym swym gmachem spoważnił życie.
Uśmiech wiośniany błyszczy na twarzy,
Oko w dal sięga jak wzrok wioślarzy,
Promienie zrzenic na gwiazdach wsparte,
Zdają się spychać w głąb' czarną kartę,
Którą odsłonił wir życia burzy —
Rozpacz z oddali echem swem wtórzy.
Zajęczał puszczyk — nie słyszy ona,
Na falach marzeń w przeszłość niesiona;
I sowa dziko heń zagwizdała,
Ona nie słyszy — jej łono pała;
Ale tam w dali, gdzie szumią bory,
Jakiś dzwon tętni, wstrząsa przestwory,—
To dzwon pocztowy... dziewczyna drgnęła,
Włos odrzuciła — zbladła — stanęła.
Słucha — dzwon serce twarde rozbija,
A dźwięki jego echo wywija.
Czy jaka nuta ich uwiązana
U lutni wspomnień, gdzie łez jej rana?
Ilekroć echo rozedmie płuca,
Serce dziewczyny łamie się, rzuca...
O! dźwięk schwycony dobrze jej znany,
Jeżeli tylko pamięć nie mami:
On we dnie, w nocy, karmił ją łzami,
Bo jeden został, gdy znikł kochany...

Tknięta przeczuciem, czy nawyknieniem,
Zwraca ku ścieżce płonące oko;
Ścieżka zwieszona po nad opoką
Nieraz ją lubym darzyła cieniem,
Gdy powracając w domóstwo znane,
Pewien że znajdzie swą ukochaną
W zacieniu wzgórza — wojownik młody
Śpieszył tam święcić dwojga serc gody.
Odtąd porosła mchem — zapomnieniem —
Lecz teraz — Boże!... cień znów wykwita...
Ach! czy uwierzyć własnemu oku?
Myśl jeszcze krąży w zwątpienia mroku...

Zakrzepła w widmo stoi i czeka,
Cień, noc i księżyc, zlały się w jedno —
Serce zamiera i lica bledną,
Łzą wytężona rośnie powieka.
To nie złudzenie... cień się przybliża,
Szeleszczą trawy, już słychać kroki,
To on!... ach wreszcie zdjęty cierń z krzyża!
. . . .
. . . .
Noc opowiła w swój płaszcz szeroki
Uścisk kochanków...

(d. n.)

WALET PIKOWY.

NOWELLA

Salvatora Fariny.

(Dokończenie).

IX.

Zegar w sali gry od niepamiętnych czasów wciąż pokazuje godzinę jedenastą: przyłożywszy jednak ucho, gdy się trochę uciszy, można słyszeć metaliczne dźwięki odległych zegarów. Była druga godzina po północy.

Niczem nie zachwiane szczęście Walentego znużyło wreszcie jego partnerów, powychodzili więc jeden za drugim. Dotrzymuje mu jeszcze placu kilku zagorzalców, a przy nich z jakie półtuzina próżniaków, którzy nie mając złamanego szeląga na opłacenie swoich własnych nałogów, żywią się ukruszynami nałogów cudzych. Ci, można tego być pewnym, odejdą dopiero po ostatniej partyi.

Donato, z głową zwieszoną na piersi, zdaje się być obcym temu wszystkiemu co się koło niego dzieje, a pan Azdrubal milcząc czas jakiś zdecydował się nakoniec długiem westchnieniem przypomnieć mu swoją obecność. Student drgnął, powstał i jakby uderzony nagłą myslą, padł na krzesło, wyjąkawszy:

— Jestem na pańskie rozkazy.

— Na moje rozkazy? zawołał pan Azdrubal tonem ewangelicznego miłosierdzia, na moje rozkazy! Ależ ja nic nie mam do rozkazywania ci, kochany panie. Dług pański, wiesz pan dobrze, iż wynosi... ale po co go wymieniać, pan już wiesz, nie mówmy więc o nim. Co do terminu i sposobu jego wypłaty, to... przysięgam panu, że mi bardzo przykro, żem wygrał, choć nie powiadam, że wolałbym przegrać; nie uwierzyłbyś temu, gdyż nie byłoby to prawdą, lecz na sumienie, martwi mnie to. Co do terminu wypłaty, ani ja, ani pan nie możemy go oznaczyć. Od niebios to zależy. Co najmniej mogę dla okazania panu mojego, mojej... co najmniej mogę uczynić, to życzyć pańskiemu ojcu lat Matuzalowych.

Donato ostatnich sił wydobywa, aby nie zapłakać gorzkiemi łzami, zaciska zęby, aby stłumić łkanie, które się zmienia w cichy jęk. Pan Azdrubal prawdziwie jest jak na torturach.

— Nie mówmy o tem, rzecze, i jeśli pan możesz zapomnij. Co do mnie, już zapomniałem. Rzecz to bardzo prosta, i powinna zostać między nami. Nikt nie powinien o niej wiedzieć, nikogo nie powinna zmartwić. W wieku pańskim, za lat dwadzieścia albo trzydzieści uregulujemy nasze rachunki bez nieprzyjemnego ich rozgłaszania.

Należy przypuszczać że mały jegomość użył całej sobie właściwej wymowy, której oprzeć się nie było podobna, gdyż po niejakiej przerwie mówił w ten sposób dalej:

— Wtedy będziesz pan w położeniu takiem iż nikogo nie będziesz potrzebował mieszać do tej sprawy. Jesteś pan młody, masz zdolności, odwagę a młodzi utalentowani inżynierowie, pozwól mi jeszcze raz to powiedzieć, mają bogatą kopalnię pod nogami. Pewnego pięknego poranku uderzają piętą i natrafiają na obfitą żyłę kruszcową; chwytają fortunę za włosy złote, i nie wypuszczają jej więcej. I pan tak uczynisz. Jedynem lekarstwem na chorobę pana, jest to, abyś szedł dalej drogą uczciwą.

Na wzmiankę drogi uczciwej, Donato żywo podniósł głowę, i niezdając sobie z tego sprawy szaloną poczuł chętkę uczęstować swojego partnera zbyt dotykalną odpowiedzią. Lecz ten inaczej sobie to poruszenie wytłomaczył, i bez przerwy mówił dalej.

— Brawo! to mi się podoba. Po tak nieszczęśliwie spędzonej nocy, człowiek zwyczajny pomyślałby o tysiącznych głupstwach, rozpaczał, szalał przychodziłaby mu ochota wykąpać się w kanale Naviglio, albo wpakować sobie kulę, która nie zawsze idzie prosto, a tylko kładzie do łóżka na dwa albo trzy miesiące... Młodzieniec żywy i rozsądny, jak pan, przeciwnie, namyśla się jak stoczyć dzielną bitwę z fortuną a walczy bronią pracy i rozumu, gotując sobie odwet wspaniały... szanuje swoje zobowiązania i płaci długi... Powiadam panu, iż nie myślę o tem co mi winieneś... Albo raczej będę

szczerym, owszem, myślę o tem i jestem pewny, iż mi pan nie dasz czekać długo.

Donato wstaje, poprawia niby włosy przed lustrem, niby uśmiecha się do dwóch czy trzech swoich towarzyszów, i wychodzi krokiem pewnym, mając rozpacz w sercu. Pan Donato za nim.

Jeden z najwcześniejszych zegarów Medyolańskich wydzwonił godzinę w pół do drugiej, inne jak echo powtórzyły za nim.

Mały jegomość w czarnem ubraniu odezwał się teraz głosem zmienionym:

— Wypoczynek jest koniecznie potrzebnym, jako przygotowanie się do najszlachetniejszej działalności. Jedwabnik cztery razy bezwładnieje zanim się weźmie do snucia swojego kokonu; pan także snuć będziesz swój kokon, tak, pan również prząść go będziesz, jeśli Bóg zachowa ci największy skarb, jakim jest zdrowie. A spodziewam się, że tak się stanie, ponieważ gdybyś umarł przed czasem, zasmuciłbyś wszystkich...

Donato zatrzymuje się na środku ulicy i przy blasku płomienia gazowego spogląda na spokorniałą twarz swojego towarzysza.

— Tak, panie, wszystkich, mówi ten dalej, a najprzód siebie samego... potem Martino Bruscoli, to jest pannę Konstancyą, a wreszcie twego pokornego sługę. Widzisz więc pan, jak drogiem jest twoje życie. Jakbyś pan umarł, dziedzictwo po p. Norbercie spadłoby na twoją siostrę, a wtedy bywajcie mi zdrowi wierzyciele. Panna Konstancya z pańskiego rewersu nie mogłaby sobie zrobić nawet papilotów, ponieważ się nie fryzuje, a pan Azdrubal nie mógłby także zapalić sobie fajkę obligiem, który mu pan podpiszesz... ponieważ wcale fajki nie pali. Przekonaj się pan jak twoje życie jest drogie. Rozważ, jak łatwo spłacić swoje długi, kiedy się nie ma sumienia. Widzisz pan na jakie narażamy się straty gdy na chwilę ulegniemy słabości, gdy popełnimy głupstwo niedające się naprawić.

Zamiar doradzcy stał się zbyt jasnym nawet dla Donata; ten więc zatrzymał się i rzekł:

— Dziękuję panu za przypomnienie. Znam moje obowiązki. Przyjdź pan do mnie jutro. Podpiszę rewers na to, com dłużny.

Wyrzekłszy to student, zwraca się na lewą stronę. Pan Azdrubal nie opuszcza go.

— Dokąd pan idziesz, zawołał, nie wracasz do domu?

— Nie chce mi się spać. Tej nocy nie będę się kładł do łóżka.

— A no, i mnie także spać się nie chce. Nie sprawi panu przykrości. jeśli mu towarzyszyć będę? Co do obligu, to nie jest rzecz tak wielka, jak pan sobie myślisz. Cztery wyrazy na stemplowym papierze, ot i wszystko. Może znajdę otwarty gdzie sklep tabaczny, aby panu oszczędzić fatygi... Bądź pan cierpliwym do jutra rana... A tymczasem możebyśmy wstąpili do kawiarni, aby wypić szklankę gorącego mleka. Gorące mleko bardzo się przyda po nocy bezsennei, naturalnie, że ja płacę, gdyż jeśli się nie mylę...

Ciemność nocna nie dozwoliła Donatowi widzieć ukośnego spojrzenia, jakiem chuderlawy człowieczek obrzucił go od stóp do głów, lecz odgadł je, tak samo, jak pan Azdrubal odgadł, że się student zarumienił.

— Nie ma się czego rumienić, mówił więc dalej. Przegrałeś wszystko, co miałeś nie masz szeląga przy sobie. Ale od czegóż ja jestem; powiesz mi, co ci potrzeba na zaspokojenie najgwałtowniejszych wydatków, to już pomieścimy w jednym rachunku.

Była już trzecia godzina, gdy pan Azdrubal mimo oporu wprowadził młodzieńca do kawiarni w dworcu kolei żelaznej. Nie było tu żywej duszy z wyjątkiem dwóch chłopców posługujących i dużego kota: wszystko troje spali w najlepsze.

Jeszcze raz widząc się twarz w twarz ze swoim przeciwnikiem, wrogiem, Donato uczuwa burzącą się nienawiść, boleść silną, jakby pewien rodzaj spazmów. Ta postać chuderlawa, to oko mrugające, te usta zdające się uśmiechać szyderczo, to ubranie szczelnie zapięte, niby zamknięta szkatułka, co pochłonęła cały jego majątek, ten głos jednostajny, ostry, to ułożenie prowincyonalne... tak nie ma wątpliwości, to on sam... to walet pikowy.

Przestał myśléć, widzi tylko przed sobą to fatalne widziadło; nie rozumuje wcale, pragnąłby tylko uciec od tego człowieka. Podnosi się nagle i rzecze do niego głosem stłumionym przez wysiłek zapanowania nad sobą:

— Muszę pozostać sam; jutro rano podpiszę mój oblig.

Pan Azdrubal zdaje się nie zwracać uwagi ani na to gwałtowne poruszenie, ani na głos zmieniony; chwyta młodzieńca za połę, sadowi go na krześle, i uderza w stół ręką, aby przywołać chłopców.

— Dwie filiżanki mleka gorącego, wrzącego! Widzisz, kochany panie Donato, wcale mi nie pilno. Za godzinę dnieć zacznie, a ponieważ się niecierpliwsz, możemy zaraz interes zrobić. Tymczasem daję trzysta franków, czy to dosyć? Zapiszę je tylko w notatce.

Ta niczem niezachwiana ufność dobija do reszty studenta, który po raz pierwszy przypatruje się bacznie swojemu towarzyszowi. Lecz ten bynajmniej się nie miesza, uśmiecha dobrotliwie i nalega aby wziął pieniądze. Pod pozorami tej grzeczności, tej ufności, ukrywa się strach który Donato odgaduje.

Lęka się, abym mu nie uciekł, mówi do siebie młodzieniec, ma mnie w podejrzeniu.

I ma racyą, mój synu! Czemże zajmuje się twój zbłąkany umysł, jeśli nie wynalezieniem środka, jak mu się wymknąć. Ty nie wiesz, dlaczego; nie wiesz co uczynisz; masz tylko przed sobą chwilowe pragnienie, ponieważ mózg twój zaległy ciemności, lecz życzenie to wyraziłeś, zawsze ono jest to samo, pragniesz sam pozostać. A co uczynisz jak sam pozostaniesz?

Tak zdawał się mówić Donatowi łagodny uśmiech pana Azdrubala i jego uprzejme naleganie, aby przyjął pieniądze.

Donato przyjmuje; pije mleko gorące; odpowiada monosylabami na gawędę swojego towarzysza, i jak tylko może, stara się uporządkować swoje myśli, lecz nadaremnie. Na żadną jasną ideę zdobyć się nie jest w stanie. Jak w fantasmagoryi jakiej przesuwają mu się karty, stół zielony, długi, uśmiech Konstancyi, łzy starego ojca, smutne pieszczoty Mariuczii, i zagadnienia mechaniki stosowanej, ale nic takiego coby stanowiło jego ideę osobistą.

Wszelako pragnienie pozbycia się nieznośnego towarzystwa coraz bardziej przybiera charakter prawdziwego szału. Nieraz przychodzi mu na myśl uciec w jakibądź sposób. Przypomina sobie romans Dumasa *Monte-Christo*, jedyne wspomnienie romantyczne z jego życia arytmetycznego; robi szalone projekta, ucieka w rozmaity sposób, lecz wszystko daremnie. Pan Azdrubal jest zawsze przy nim jak cień, nie odstępuje go.

A czas upływa.

— Kto odjeżdża do Serto, Monza, Seregno, Camerlata?" nagle rozległ się po sali głos stentorowy.

Otóż i myśl się znalazła.

— Pójdę zapłacić, rzekł Donato wstając i idąc do bufetu.

— Ba, odrzekł drugi, już zapłacone, i skinieniem przywołuje chłopca.

Lecz młodzieniec nie widzi tego. Bierze na stronę drugiego chłopca, i kładąc mu w rękę pięciofrankową sztukę, mówi pośpiesznie: Bilet drugiej klasy do Soregno, reszta dla ciebie.

W pięć minut później głos stentorowy powtarza: „Kto odjeżdża do Sesto, Soregno, Camerlata!"

Dzwonek zapowiada odejście pociągu.

Donato niespokojny ogląda się w koło nie zwracając uwagi na pana Azdrubala, który po raz dwudziesty powtarza:

— Ah, smutna to rzecz, ta gra. Kto przegrywa nie jest zadowolony, kto wygrywa także nie jest kontent z siebie, sądzisz pan...

Nadchodzi chłopiec, Donato wstaje, porywa bilet i rzuca się w otwarte drzwi przed sobą.

W dwie minuty później, pociąg rusza z miejsca. Student odetchnął wreszcie.

X.

Jest sam. Teraz może zmierzyć okiem przepaść, w jaką wpadł, i poznać cały ogrom swojego nieszczęścia. I co mu to pomoże? Wszystko, co wypowiedzieć może żal i skrucha, wszak tego doświadczył już i to bez żadnego pożytku. Wtedy tek samo jak dziś, był sam w obec zmory która go trapiła. Wtedy, tak samo jak dziś opłakiwał swój błąd nie dlatego że gotował mu ruinę lecz że sprawiał boleść sędziwemu ojcu, i ochroniłoż go to od powtórnego upadku?

Dziś nieszczęście jego zwiększa zgon najdroższych nadziei; ta miłość jego niewyznana, a jednak tak wielka, odtąd dla niego jest na zawsze straconą, i jakby na domiar złego głęboką czuje nieufność ku samemu sobie, co go pozbawia nawet łez pociechy.

Szukać więc ma w głosie przyrodzonym, w obrazie swoich ukochanych krewnych, w snach gorączkowych pastwy dla dręczących go zgryzot, kiedy nadużył wszystkich tych środków? Będzież on igraszką dziecinnego wzruszenia, i bez żadnej wiary w siebie powtórzyć że ma zbadane sumienie, z którego tak mało umiał korzystać?

Nie, samo sumienie milczy. Ponure milczenie opanowało jego duszę. Ten promień słońca, który oświetla dolinę, oświetla zarazem śmierć serca, które pogardza samem sobą.

Położenie Donata jasno się określa: grał i przegrał; przegrał Konstancyą, przegrał szacunek ludzki i swój własny, przegrał miłość swojego ojca i siostry, przegrał wiarę w przyszłość swoją. Była to jego stawka. Grał i przegrał. Nie zostało mu nawet prawo pozbawienia się życia. Zabić się byłoby tylko łatwym środkiem pozbycia się długów. Wszak powiedział to pan Azdrubal.

Poranek przepyszny, niebo pogodne, powietrze łagodne i orzeźwiające. Znękanie Donata odbija się w jego przygasłem oku o niepewnem spojrzeniu. Słupy od telegrafów na pierwszym planie przesuwają się przed nim tak szybko, że aż kręci się w głowie, akacyowe płoty poruszają się wolniej, a drzewa morwowe wolniej jeszcze. Świetlana dolina rozwija się szeroko, widnokrąg tylko pozostaje nieruchomy, gdy tymczasem wierzchołki gór

w skutek ruchu przeciwnego zdają się razem z pociągiem postępować.

Tak mija teraźniejszość. Tak nie odstępuje nas przeszłość, która nam towarzyszy i przyszłość, która nas czeka.

Raz, dwa, trzy razy pociąg się zatrzymał, wreszcie dał się słyszéć głos: „Seregno"!

Donato wzdrygnął się, wysiada i bez zastanowienia się przystaje na propozycyą jakiegoś wyrostka, który trzaskając z bicza ofiaruje mu swoją starą kolaskę. Koń, wychowany widocznie w sławnej szkole starego konia w Romano, biegnie jak strzała, że tylko mignęło Seregno, potem następuje się wleczenie noga za nogą po piaszczystym gościńcu.

Co czyni nieszczęśliwy młodzieniec? Jaki ma zamiar? On sam nie wie. Czuje potrzebę odwiedzenia willi, w której był tak szczęśliwym, zbliżyć się, być może po raz ostatni przy tych, których kocha, odetchnąć w tej szczęśliwej atmosferze szczęścia w której żyć nie godzien, a potem... A potem ucieknie, a ponieważ niewolno mu odebrać sobie życia, pójdzie na spotkanie śmierci. Będzie o nią prosił natury i ludzi.

Przebywa wioski, postrzega chaty. wille eleganckie i publiczne fontanny. W ponurem swojem usposobieniu patrzy na te dobrze sobie znane obrazy, jakby zupełnie nowe, lecz wydają mu się posępniejsze, niż zwykle. Na drodze spotyka wieśniaczki, które śpiewając wznoszą swoje brunatne głowy płowe fale dojrzałego zboża. Oto ostatnie wzgórze; oto Inverigo ze swojemi aleami cyprysowemi, białemi domkami i dzwonicę połyskującą w słońcu; oto samotna ścieżka, ocieniona akacyami, ostatnia...

Donato każe się zatrzymać powozowi. Wysiada i przez chwilę stał nieruchomy, potem swolna postępuje dalej; zatrzymuje się przed nizkim murem otaczającym ogród ojca. Serce mu bije, słyszy szmer kroków. Ukrywa się. Lęka się, aby go widziano, potem podsuwa się; jednym skokiem wdrapuje się na mur, i tak zawieszony spogląda w ogród i pada na ziemię cały wzruszony. I cóż postrzegł? Biały domek z pozamykanemi [oknami do których słońce jeszcze nie zajrzało; aleę, altanę i wielki dąb... Słucha... zdaje mu się że słyszy głos... nie, dwa głosy, siostry i Konstancyi. Te ukochane istoty mają duszę tak czystą, jak świeży poranek, który je zbudził. Gdyby wstąpiły na *wzgórze*, gdyby spojrzały na dół, na mur!... oto się zbliżają. Nie, oddalają się. Śmieją się jeszcze... gdyby wiedziały...

Ah! tym razem Donato powstrzymać się nie może. Łza stoczyła mu się po twarzy, a za nią tysiące ich.

Szelest kroków po ścieżce zmroził jego rozrzewnienie. Chce uciec, ukryć swoje wzruszenie przed głupią ciekawością jakiego obojętnego chłopa. Lecz już za późno. Zaledwie może zasłonić twarz rękami. Przechodzień zatrzymuje się, nie odchodzi i Donato, czuje jak nad nim zaciężył jego wzrok badawczy.

Wtedy się podnosi, patrzy przed siebie i staje jak skamieniały. To on, i zawsze on! Walet pikowy.

XI.

Pan Azdrubal wsparłszy się pod boki, z twarzą ożywioną nie wygląda tak strasznie, jak się Donatowi wydaje, lecz widocznie wielką ma ochotę naśmiać się. Przez chwilę zatyka usta, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem, nie może się jednak powstrzymać, zdaje się, że wesołość tryska mu wszystkiemi porami.

— Jak to uczyniłem? Zapytajże się pan jak to uczyniłem i uznaj się za zwyciężonego. Wiedzże o tem, iżem się przed tobą urodził. „Miejsce w drugiej klasie do Seregno". Mam słuch bardzo delikatny i powtórzyłem jak papuga: miejsce w drugiej klasie do Seregno. Odbyłem podróż razem z panem, rozdzielony tylko jednym wagonem; połykałem kurz twojego powozu, ot i jestem.

Tym razem nie powstrzymuje się już; lecz tak głośno się śmiał, że ucichły świeszcze poranne. Donato przybiera minę poważną, postępuje krok naprzód i odpowiada:

— Nie wiem jakie są pańskie zamiary, co do mnie postępuję sobie uczciwie. Nie pomyślałem nawet, aby się schronić przed mojem nieszczęściem, lecz chciałem uniknąć nieznośnej obecności pańskiej, która mój los czyni jeszcze straszniejszym.

Cóż jest śmiesznego w tych wyrazach, wyrzeczonych z uroczystą powagą?

A jednak panu Azdrubalowi o mało nie pouryają się guziki, tak się śmieje, biorąc się za boki. Wreszcie przybiera także minę poważną i rzecze głosem piskliwym.

— Niezawsze tak będziesz pan mówił, niezawsze.

Głośny śmiech zapewne musiano posłyszéć w ogrodzie, gdyż tam na wzgórzu, wśród liści i winogron jeszcze zielonych, ukazała się najprzód jedna prześliczna twarzyczka, potem druga niemniej piękna. Dwa radosne wykrzyki, klaskanie rąk i dwa głosy słyszéć się dały:

— Donato!

— Mój wuj!

Człowieczek w czarnem ubraniu podnosi głowę i odpowiada bez zmieszania się.

— Tak moja mała! To my, przyszliśmy jak studenci piechotą. Dzień dobry, panno Mariuczio!

Mariuczia nie odpowiada; pierwsza znikła, za nią pobiegła Konstancya, słychać ich wesołe głosy, jak oddalają się wykrzykując wesołą nowinę. Donato oniemiał; sądzi, że jest igraszką jakiegoś złudzenia; otworzył usta ze zdziwienia i spogląda na małego jegomości, który się do niego uśmiecha.

— Pan Martino Bruscoli! wyjąkał wreszcie.

— Ja nim jestem na szczęście... chociażbym mógł być p. Azdrubalem.

Student nie ma czasu zapytać o wytłomaczenie tych słów niezrozumiałych, gdyż na drugim końcu ścieżki widać Konstancyą i Mariuczą, jak biegną zadyszane i śmieją się, trzymając za ręce.

I oto ściskają się: brat siostrę a wuj swoją siostrzenicę. Wkrótce zjawia się i pan Norbert ze swemi miłemi zmarszczkami, ze swojemi białemi włosami, które rozwiewa wietrzyk poranny. Donato zostawia siostrę i biegnie rzucić się z płaczem w objęcia ojca. Lecz Martino Bruscoli nadbiega, ściska dłoń starca i tłomaczy w ten sposób to niespodziewane przybycie i te łzy.

— Za cztery dni Donato rozpoczyna swoje egzamina; przez cały tydzień tak się uczył poczciwy chłopiec, tak się uczył, że jego oczy potrzebują wypoczynku. Przyjechałem do Medyolanu dla załatwienia kilku drobnych interesów, widziałem nową maszynę do przędzenia, i rozmawiałem z profesorami szkoły aplikacyjnej. Za miesiąc syn pana będzie inżynierem. Chciał pana widzieć przed egzaminem, lecz wyjeżdża dziś jeszcze wieczorem, ponieważ nie ma czasu do stracenia, a jak pan widzisz, jest nadzwyczaj wrażliwym. Źle robi, powiedziałem mu, że źle robi.

Czas szybko upływa. Zaledwie przybyli, gdy oto zastawiają śniadanie. Donato wciąż ma przy sobie pana Martino Bruscoli. Nie może mu się wymknąć, wszelako sam nie wie dla czego czuje się szczęśliwym...

— Panie Bruscoli, rzecze do niego gdy się znaleźli sam na sam. Ja panu nieraz ubliżyłem, raczysz mi darować. Nie wiedziałem, że jesteś wujem Konstancyi.

— To nie dosyć, odpowiada mały jegomość, ty winieneś (mówię ci ty, ponieważ mi podobasz się i życzę ci dobrze, jeźli chcesz możesz mi odwzajemnić się) otóż winieneś przeprosić mnie naprzód za obelgi, które mi powiedziałeś i za te, które pomyślałeś.

— Ja?

— Poczekajno. Wiem, że mam postać odrażającą, pewiedziałeś to. Przypatrz mi się dobrze. Czy istotnie mój widok tak straszny?

Donato rozśmiał się.

— Miałeś mnie w podejrzeniu, że jestem lichwiarzem. Wszak prawda?

— Prawda.

— Sądziłeś że oszukuję w kartach?

— To jest...

— No, powiedz prawdę, czy nie?

— Lecz po cóż nie dałeś się pan poznać?

— Bardzo rzecz prosta. Chciałem cię wystudyować. Teraz znam cię.

Donato spuszcza oczy i pogrąża się w labirynt tysiącznych przypuszczeń... Wreszcie znajduję nitkę od swego zaplątanego kłębka, i wzdycha.

— Kiedy pan chcesz abym podpisał mój oblig, rzecze zmienionym głosem.

Mały jegomość wznosi ręce do góry i wzywa zmiłowania bożego, nad tym niewiniątkiem i rzecze:

— Jaki oblig na kaduka? Nie pojmujesz więc, że wszystko było na żart.

Donato szeroko otwiera oczy i nie może się zdobyć na słówko. Wreszcie wyjąkał:

— Ale ja grałem na seryo. Przegrałem, winienem zapłacić. Długi z przegranej są święte...

Martino Bruskoli podskoczył, jak sprężyna i zamyka usta studentowi.

— Nie powtarzaj mi tych głupstw. Czy sądzisz że mi zaimponujesz temi surowemi wyrokami ogłaszanemi przez trybunał szulerów, temi aksiomatami, które mają tylko tę wartość, iż występek osłaniają pewnym urokiem. Te niedorzeczności ujść mogły w ustach pana Azdrubala. Lecz ja nazywam się Martino Bruscoli z łaski Bożej, a dla Martina Bruscoli te tylko pieniądze są święte, które zyskuje się pracą. Nic mi nie winieneś, powtarzam ci, uczyniłem to, aby wcześnie wyleczyć cię z paskudnej choroby. Dotknij się pulsu swojego sumienia. Jeśli czujesz, że jest zdrowym, nie straciłem daremnie tej nocy. I zrób mi tę przyjemność, nie piśnij ani słówka o tem nikomu.

— Ale jeślibyś pan był przegrał?

— Gdybym był przegrał, zatrzymałbym się na sześciu tysiącach franków i powiedział: moje dziecko odegrałeś swoje pieniądze. Pan Azdrubal zapłaci panu Martino Bruscoli summę, którą panna Konstancya ci pożyczyła; oto twój oblig. Niceś nie winien. Pamiętaj o tem że masz zdolności i serce, że byłeś na drodze zostania łotrem. Zdobądź tytuł inżyniera, pracuj, uczyń szczęśliwym twegą sędziwego ojca, potem zakochaj się na seryo w pewnej ładnej dziewczynie i przychodź prosić o nią do jej wuja...

Mały jegomość zamknął sobie usta, aby więcej nie powiedzieć, lecz było już zapóźno.

— Przyjdź zwiedzić moją przędzalnię, może nauczę cię czego, bo wiedz o tem, że życie jest także szkołą aplikacyjną, gdzie można się nauczyć wielu rzeczy. Jedwabniki naprzykład nauczą cię, iż wprzód nim zaczną snuć swój kakon, pogrążają się w bezwładność. Ty już dwa razy ubezwładniałeś się. Nie trzymajże się dosłownie systematu gąsienic, i zabieraj się do snucia swojego kokonu.

XII.

Jakże godziny szybko upływają! Donato zaledwie miał czas pojąć całe swoje szczęście i ujrzyć jego połysk w oczach Konstancyi; zaledwie jej powiedział, że ją kocha bardzo i żałuje tylko że jaśniej wytłomaczyć się nie może a już ognisty czarny rumak zniecierpliwiony bije kopytem o bruk, a oberżysta schwycił lejce i bat w swoje krzepkie dłonie. Donato pokilkakrotnie całuje wszystkich, nawet ruchliwą twarz Martina Bruscoli, tylko jednej Konstancyi nie dotyka śniado aksamitnych lic. Odjechał.

W drodze Donato czyni to co mu doradzał pan Bruscoli: dotyka pulsu swojego sumienia. I znajduje go zdrowym. Teraz, teraz gdy tak był blizkim zguby, pewnym jest, że już grać w karty więcej nie będzie, mówi to sobie bez obawy, która zwykle towarzyszy słabo powziętem postanowieniom. Mijają dnie, nawet owe straszliwe dnie egzaminu z mechaniki i architektury, mijają nawet wesoło, nadchodzi wreszcie dzień pamiętny, w którym Donato okrywa się chwałą. Nic mu nie staje na zawadzie, może wybierać pomiędzy budową kolei żelaznej, a eksploatacyą jakiej kopalni: jest inżynierem.

Wychodzi z sali egzaminacyjnej, aby się rzucić w świat, któż go przyjmuje pierwszy w otwarte ramiona? Martino Bruscoli, w czarnem ubraniu zapiętem od góry do dołu i w wykrzywionym krawacie. Jak wtedy miał na głowie w miejsce wysokiego kapelusza kask metalowy; taż sama twarz zwiędła i ruchliwa, ten głos jednostajny, spojrzenia ekonomiczne, bo jednem okiem nie miał w sobie nic strasznego. Dziś Martino Bruscoli oddycha samą dobrocią, serdecznością i wszystkiemi zacnemi przymiotami znajdującemi się w słownikach.

— Czytam na twojej twarzy, rzecze do niego, jesteś inżynierem! Wszyscy inżynierowie ochrzczeni tym tytułem mają fizyonomią podobną do twojej.

— Jestem inżyniersm, tak, jestem inżynierem, odpowiada Donato. A gdzież ojciec, Mariuczia... Konstancya?

Poufałość z jaką się wyraża o siostrzenicy nie obraża wuja, który bierze młodzieńca pod rękę, odciąga go delikatnie od pocałunków i powinszowań kolegów, wychodzi ze szkoły aplikacyjnej, skręca na prawo i krokiem podwójnym wchodzi do hotelu Cavoura.

W obszernym salonie Donato zastaje wszystkich swoich, którzy czekają na niego z otwartemi ramiony, wszystkich: ojca, Mariuczię, Konstancyę. Tym razem rozpoczyna swoją karyerę inżynierską zuchwałym postępkiem: uścisnąwszy rodzinę, uścisnął i Konstancyę, i nikt przeciwko temu się nie odezwał.

W jednym z rogów sali zastawiono stół na pięć osób. Pierwsze honorowe miejsce zajął ojciec; Donato siada przy Konstancyi, mając na przeciw siebie... waleta pikowego. Ah! któżby mu powiedział, że ta straszna partya w ten sposób się skończy?

Sala zapełnia się obcemi, schodzą się stołownicy gadatliwi i milczący. Trzeba pocichu się cieszyć, aby nie stracić i okruszyny cichej radości.

Obiad był wytworny. Przy wetach Martino Bruscoli wznosi zdrowie inżyniera; lecz inżynier jakiś roztargniony. Pod osłoną poczciwego obrusa zdołał on uchwycić lewą rękę Konstancyi, i cała jego dusza znajduje się w tej chwili pod stołem.

Wieczorem wszyscy wyjechali razem. Gdy stanęli w Romano, Bruscoli odpina ubranie, wyjmuje zapięczętowaną kopertę i oddaje ją Donatowi, mówiąc:

— Oto mój podarek za twój dyplom.

Donato otwiera kopertę i wyjmuje z niej człowieczka chuderlawego, nerwowego, ubranego w czarną kurtkę w kasku metalowym.

— Zachowam to, jako najdrąższą pamiątkę, rzekł z wielką stanowczością, lecz ten podarunek nie wystarcza mi. Panie Bruscoli, proszę cię o rękę twojej siostrzenicy.

A pan Bruscoli śmiać się zaczął, przymruża jedno oko i rzecze:

— Łotr z ciebie inżynierze... czyś już nie uczynił, jak ci się podobało, i nie wziąłeś jej sobie?... Myślisz, że tego nie widziałem, ponieważ było to pod obrusem?

PRZEGLĄD LITERACKI.

OBRAZY Z ŻYCIA FLORY.

przez

Wincentego Niewiadomskiego.

(Dokończenie).

Dalej mamy nader ciekawe opisy *Dzbanecznika Indyjskiego*, którego listki opatrzone są amforami pełnemi nader smacznej wody, przezroczystej jak kryształ, a wydzielanej przez roślinę. Dzięki dzbanecznikowi spragniony wędrowiec nie jest wystawiony na męki pragnienia. Z kolei następuje Saracenia, Walisnerya, Welwiczya, królowa dziwotworów, Wiktorya Regia, Raflezya i wiele ciekawych a mało znanych dziwacznych tworów.

Najobszerniejszy z rozdziałów tej książki jest VIII, poświęcony „Karmicielkom" i nie dziw bo całe tomy możnaby zapełnić ich opisami, a zawsze by jeszcze coś do powiedzenia pozostało. Tak wiele tu ciekawych szczegółów, że nie wyjmujemy żadnego, nie wiedząc któremu dać pierwszeństwo.

Po „karmicielkach" p. N. przechodzi do „trucicielek" o których mówi w rozdziale IX. Przystępujemy teraz, mówi, do opisu zbrodniarek z dziedziny flory, odbierających życie lub zdrowie; na czele licznego ich zastępu postawić należy Strychninę, Kurarę i Upas Jawański. Najpierw opisuje p. N. trucicielki z rodzaju jaskrowatych i psianek, do których zalicza się tak zwana *Wilcza wiśnia* (Atropa Belladonna) znajdująca się w okolicach Krakowa, w górskich lasach i całej południowej Polsce. Włoska jej nazwa *Belladonna* znaczy dosłownie „piękna pani" brońże Boże każdego od podobnych piękności!

„Jeżli kiedy wśród ruin prastarego zamczyska, w samotnej ustroni lub leśnej puszczy, napotkacie wysokie jej łodygi, strojne w brunatno-czerwone kwiaty—uciekajcie od tych zdrajczyń, a szczególniej nie dotykajcie ponętnych, podobnych do wiśni owoców, zawierających w sobie słodki sok karminowy—bo piękna pani przedstawiająca się podstępnie w postaci niewinnej wiśni—to zbrodniarka, a owoc jej przeklęty truje tych co go spożyli, umierają w końcu w strasznych męczarniach. Ileż to dzieci padło jej ofiarą. Belladonna powoduje zawroty głowy, letarg, obłąkanie lub śmierć, odpowiednio do ilości spożytej trucizny.

Do nader silnych trucizn należy Blekot; sprowadza gwałtowne szaleństwo a następnie utratę mowy, wynikające ze sparaliżowania stron głosowych. Roślina ta jest bardzo pospolita, a podobieństwo jej do pietruszki i cykoryi wielu nieszczęść staje się powodem. Same nawet wyziewy blekotu są bardzo szkodliwe, sprowadzają bowiem drżenie, zawrót głowy, słabsze lub silniejsze odurzenie. Roczniki lekarskie podają opis cierpień pewnej kobiety, otrutej rosołem, do którego zamiast pietruszki użyto blekotu. Męczył ją ciągle ogromny zawrót głowy połączony z nader przykremi wizyami. Między innemi zdawało jej się że głowa jej oddzieliwszy się od szyi błąka się gdzieś w niezmierzonych przestrzeniach, a ciało pływa w powietrzu. Objawy wynikające z zatrucia blekotem bywają nader odmienne, zależą bowiem od spożytej ilości, organizmu i usposobienia zatrutej osoby.

Z kolei przystępuje autor do rodzin *Wilczo-mleczowatych*, rozpowszechnionych po całej kuli ziemskiej, których jest aż kilkaset gatunków; charakterystyczną ich cechą jest wydzielanie soku mlecznego, nader jadowitego. W Indyach, jeden szczególnie gatunek jest tak zabójczy, że dość w mleczu jego namoczyć strzałę aby rana była śmiertelną.

Szczupłe ramy sprawozdania nie dozwalają nam przytoczyć wielu bardzo ciekawych działań niektórych roślin, zabójczych trucicielek a zarazem posługujących zbawiennie jako środki lecznicze, ale nie możemy się tu powstrzymać od powtórzenia tego co p. N. mówi o tytoniu.

Tytuń już od lat trzystu wszedł w użycie; do naszego kraju sprowadzono go z Turcyi za Stefana Batorego. Skutkiem wysuszenia narkotyczne własności tytuniu stają się mniej szkodliwe dla organizmu. Należy on do rodziny psiankowatych, a nazwę *Tabaco* nadano mu na wyspie Kubie, gdzie cygara są powszechnie używane. Do Europy roślinę tę sprowadzono z Ameryki, *gdzie zrodził się cudaczny pomysł zapychania nosa tabaką i wciągania ustami tytuniu.*

W r. 1560, Jan Nicot, ambasador francuzki w Lizbonie (najpierw sprowadzono tytuń do Portugalii) ofiarował *pierwszy niuch tabaki* Katarzynie de Medicis, której narkotyk ten tak się spodobał iż postanowiła go rozpowszechnić i wkrótce dokonała tego. Z początku nazywano tabakę *Nikocyaną*, od nazwiska Nicot'a, następnie *Ziółkiem królowej* i zaczęto uważać za środek leczący wszelkie choroby. Używanie jej zamieniło się wkrótce w tak wielkie nadużycie, iż zatrwożyło monarchów. Jakób I król angielski, wydał broszurę piorunującą na roślinę amerykańską. Papież Urban VIII, ogłosił bullę nakującą konfiskatę tabakierek napotykanych w kościele. Podobne środki wydały się niedostateczne Sułtanowi Amuratowi IV i Szachowi perskiemu, obmyślili więc radykalniejszy środek: zażywającym kazali obcinać nosy. Lecz, jak zazwyczaj gwałtowne środki repressyjne, i teraz nie zapobiegły złemu.

Obecnie obliczają że jest sto milionów palaczy i sto milionów zażywających tabaką. Co gorzej,

dzieciaki zaczynają palić tytuń, aby pozować na dorosłych, pomimo wstrętnej próby jaką przebyć muszą pierwszy raz biorąc do ust fajkę lub cygaro. Palą zawzięcie, i po upływie pewnego czasu palenie to staje się już nader trudnym do wykorzenienia nałogiem, zarówno szkodliwym jak kosztownym, często rujnującym.

Broszura Jakóba I-go, króla angielskiego, słusznie rzucała klątwę na kobiety palące. „Dym tytuniowy zakaża oddech kobiety, śliczne ząbki zmienia w odrażające żółte pieńki. Ośmielamy się utrzymywać, że gdyby w wiekach średnich kobiety paliły, romantyczne rycerstwo wcaleby nie istniało. Odkąd w sąsiedztwie salonów rozwielmożnił się tytuń, straciły one cały swój powab. Lotna nikotyna i alkohol płynny to najgroźniejsze wrogi płci pięknej. Czyż podobna wyobrazić sobie Chrzanowką, Wandę lub Jadwigę, albo Małgorzatę z Zębocina, z papierosem w ręku?...

Szkoda że pan N. nie opisał szczegółowiej truczn rosnących u nas i nie podał ich drzeworytów, choćby na miejsce jakichś drzew amerykańskich; byłoby to pożyteczniejsze szczególniej dla osób zamieszkałych na wsi, gdzie nieznajomość ich wystawia na wielkie niebezpieczeństwo.

Rozdział X odstrasza tytułem „Potwory" jednakże kto go się nie ulęknie i przeczyta, wynagrodzony będzie za swoją odwagę, gdyż znajdzie tu ciekawe rzeczy. W państwie flory' mówi pan N. na początku, obok najwytworniejszych kształtów, których barwy i wonie prześliczną tworzą całość, spotykamy także najdziwaczniejsze postacie, jak gdyby czarownik jakiś przeistoczył w rośliny, potwory przesuwające się w jego wyobraźni. W pierwszym rzędzie tych potworów pomieszcza autor kaktusy. Dziwne te rośliny wzrastają na piaskach jałowych, w rozpadlinach skał zupełnie pozbawionych próchnicy, i na ziemi którą przez dziewięć miesięcy palą gorące promienie słońca; a przecież mimo to w tkance ich mieści się obfita ilość soku, orzeźwiającego na pustyni spragnionego wędrowca i zwierzęta. W porze suszy gdy życie zamiera w rozpalonych od słońca stepach południowej Ameryki, gdy aligatory i węże wyczekujące pory deszczów, zanurzają się w bagniskach ujęte snem letargicznym, spragniony osieł dziki znalazłby śmierć na puszczy, gdyby nie opatrznościowe kaktusy. Twardem swem kopytem zwierzę rozbija ciernie dyniowatego kaktusa, z którego wytryskujący płyn gasi jego pragnienie. I same kaktusy korzystają najpierwsze z tego zapasu wody. Kaktusy pokryte są powłoką korową, prawie nieprzenikliwą, złożoną z chrząstkowatych komórek, przez co stawiają zaporę niepokonaną absorbującym promieniom słońca. Przyrodnicy liczą dziś około 600 gatunków kaktusów, wysokość niektórych dochodzi od 35 do 60 stóp.

Wszystkie prawie kaktusy opatrzone są mniejszemi lub większemi igłami, które za dotknięciem łamią się w ciele i silny ból sprawiają. Inne znów są jakby ciernie twarde, mocne, długie, ostre jak puginały, i ciernia te głębokie zadają rany bawołom, których pierś przebijają i te u stóp ich padają martwe. Największe i najilczniejsze takie ciernie posiadają kaktusy Tuna; ludzie umieli je spożytkować i robią z nich płoty których kula armatnia przebić nie jest zdolna.

Do najwspanialszych kaktusów zaliczone są tak zwane *Świece Meksykańskie*. Wysokość ich podaje p. N. na 70 stóp, i nadmienia że są wyższe od najwznioślejszych dębów, a przecież wiarogodni podróżniey podają że wysokość niektórych dębów około 100 stóp dochodzi. Pan N. opisuje tu wiele gatunków kaktusów i podaje ciekawe, mało komu znane szczegóły.

„Pasożyty" oto tytuł XI-go rozdziału. W nim autor oddziela rośliny wiciowate od pnących się, i bardzo dramatycznie opisuje działalność lyanów. Najstraszliwszym z nich jest tak zwany przez Hiszpanów *Cipo-Matador* (Zbójca). Uściski jego zawsze są śmiertelne. Zdaje się on z początku podpory tylko żądać od drzewa, lecz pozyskawszy ją, okręca do koła swe zwoje i po pewnych latach dusi roślinę w swych objęciach, nie dopuszczając w niej krążenia soków. Drzewo zamordowane przez nielitościwy lyan, usycha i pada, pociągając za sobą mordercę, który gdzieś w głębi lasu kona na trupie swej ofiary.

Z pośród innych pasożytów, bardzo dramatycznie opisuje pan N. rozwój i działalność znanej i u nas Kanianki—opis ten mimowolnym przejmuje dreszczem.

Mamy tylko żal do szanownego autora że do pasożytów zaliczył poetyczny bluszcz, którego godłem: „Je meurs où je m'attache." Obdarzenie pięknych jego liści aromatem, którego wcale nie posiada, nie wyrządza krzywdy jaką mu zadaje poniżająca nazwa „pasożyta."

W krótkim rozdziale XII pisze p. N. o „Lekarkach" a pisze bardzo pobieżnie o niektórych tylko roślinach posiadających własności lecznicze—i nie dziw, bo gdyby opisać szczegółowo wszystkie i ich działalność, wielki tom zapełnićby można.

Teraz występują na scenę „Czarodziejki" (Rozdział XII). Tu pierwsze miejsce zajmuje królowa kwiatów, Róża, i opis jej zajął trzecią część rozdziału; hołd oddany jej królewskiemu majestatowi. Po niej przychodzi kolej na rodzinę Liljowatych w której znowu króluje prześliczna biała Lilja. Co do nas, przyznajemy że chętnie zdetronizowalibyśmy różę na jej korzyść. Dalej wspomniano pokrótce o Mieczykach, Hyacentach i Konwalii.

Przechodzimy do „Prostaków i strojniś" (Rozdział XIII). Jest tu mowa o roślinach nie należących do żadnej z rodzin, których jednak pominąć niepodobna było. Z kolei mamy opisy cebul, czosnków, Szafranu, Jeżyny, Pierwiosnka, Zimowita i innych, ale skądże przyplątała się Agawa, w żadnym z niemi nie pozostająca związku? Nie zwraca ona uwagi ani prostactwem ani strojną szatą, ale jedynie niezwykłem rozkwitaniem. Nazwa jej ma pochodzić z greckiego i oznaczac *zachwyt*, przecież liście nie mają w sobie nic tak pięknego, a kwiat raczej osobliwy niż zachwycający. Powszechnie utrzymują że Agawa po zakwitnięciu usycha, jakoż ta którą widzieliśmy kwitnącą, uschła niebawem potem.

W rozdziale XIV zatytułowanym „Najady i Nerejdy roślinne" mamy ciekawy opis wodorostów, gronorostów i zwierzokrzewów rozwijających się i rozradzających w głębi morskich otchłani. Życie roślinne krzewi się tu z niesłychanem bogactwem, o którego rozwoju flora ziemska żadnego nie może dać wyobrażenia. Mikroskop uwidocznił cały wszechświat nieznanych, niewidzialnych jestestw; w każdej stopie, w każdej kropli wody morskiej, roją się miliardy jestestw, obejmujące dwa królestwa: fauny i flory.

„Mięsożercze" (rozdział XV). W nim jest mowa o roślinach mięsożernych, żywiących się owadami, i mogących zarazem pochłaniać mięso wszelkiego gatunku zwierząt, położone na ich liściach. Na te osobliwe ich własności fizyologiczne, pierwszy Karol Darwin zwrócił uwagę przyrodników, opierając się na doświadczeniach dokonanych z roślinami Rosiczkowatemi. Trzeba było rozwiązać kwestyą: czy rośliny te trawią materye zwierzęce, czy też pochłaniają tylko wytworzony z ich rozkładu kwas węglany, tlen i amoniak. W pierwszym razie liście roślin rosiczkowatych trawiłyby podobnie jak żołądek zwierzęcy, w drugim, sposób ich żywienia nie przedstawiałby nic osobliwego. Czynione doświadczenia przekonały że owady pochwycone przez rosiczkę karmią ją swem mięsem, a ona trawi je zupełnie w ten sposób jak żołądek zwierząt. Ważne to nader odkrycie w dziedzinie nauki.

Ostatni rozdział (XVII) zatytułowany jest „Z pola walki o byt." W nim autor przedstawia obrazowo życiorysy fasoli i kartofla, na dowód że i rośliny zarówno jak ludzie umieją walczyć o byt swój. Flora nie poddaje się z łatwością fatalizmowi grożącemu jej zagładą, lecz walczy z przeciwnościami i szuka dróg przeróżnych, aby żyć i rozwijać się w najdogodniejszych warunkach.

„Obrazy z życia flory" nie jest to ścisły wykład botaniki, jak to przyznaje sam p. N. ale utrzymane w tonie zajmującego opowiadania, łatwo trafią do pojęcia nietylko młodych Czytelników, ale każdego w ogóle pragnącego poznać najciekawsze zjawiska życia roślinnego, bez wielkiego natężenia umysłu. Język poprawny, styl gładki, a w wielu miejscach nawet porywający, jest wielką książki tej zaletą. Podaliśmy tu obszerniejsze z niektórych rozdziałów ustępy, aby dać pojęcie jak są ciekawe i zajmujące, a tem samem zachęcić Czytelniczki do jej przeczytania. Pan N. posiada dar popularyzowania nauki, spodziewamy się więc że nie zatrzyma się na tej drodze.

J. B.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 stycznia 1881 roku.

Karnawał zaczął się dla Warszawy, nie powiemy tego o Paryżu. Tu zarówno jak w Londynie, wytworny świat rozpoczyna zabawy dopiero po wielkiej nocy, i przeciąga je do końca maja. W kołach rządowych jest wprawdzie kilka balów podczas karnawału, ale świat arystokratyczny nie bierze w nich udziału. Aby ich uniknąć rozbiega się po stacyach zimowych nad morzem Środziemnem: spędza styczeń i luty w Cannes, Mentonie lub Nicei; do Paryża zaś powraca z pierwszym słonkiem i jaskółkami.

W jednym z wielkich magazynów tutejszych, widzieliśmy stroje przygotowane do Nicei, dla świeżo zaślubionej markizy; dajemy tu ich opis.

Najstrojniejsza z tych sukien, biała pluszowa w śmietankowem odcieniu, z długą powłoką, miała przód czyli fartuszek, biały atłasowy, naszywany cały białą sieczką. Od dołu do kolan szła woda, przepinana marabutami, jakby posypana szronem. Draperya atłasowa, przerzucona od boków do tyłu, spadała wraz z pluszem w malownicze festony. Stanik do tego długi, pluszowy, otwarty z przodu; z pod otworu wyglądał plastron atłasowy naszyty sieczką. Wykrój stanika zdobiły marabuty. Do ubrania głowy przygotowane były blado-różowe hiacynty, pomieszane z marabutami.

Druga suknia w kolorze, brzoskwinionym różowo-żółtawym, miała spódniczkę gładką atłasową,

nagarnirowaną z przodu wodą i koronkami, na to szła druga spódnica, materyi tegoż koloru w czarne i złote prążki, otwarta z przodu, po bokach i w tyle podpinana w festony. Stanik w prążki, z czworograniastym wykrojem, ogarnirowany był koronką; przy lewem ramieniu ozdobiony wielkim bukietem z brzoskwiniowego kwiatu. Ubranie głowy składało się z takichże kwiatów, pomieszanych z marabutami w złote centki.

Trzecia suknia biała poult de soie, sięgająca tylko do ziemi, przybrana była u dołu kilku rzędami falbanek, z materyi i koronki; fartuszek nagarnirowany też odpowiednio. Od boków do tyłu szła draperya podpinana liśćmi paproci: te liście błyszczały jakby pokryte szronem. Podobny bukiet w ramieniu, ładnie ozdabiał stanik. Takiż sam miał być wpięty pomiędzy włosy.

Czwarta suknia blado różowa z atłasu broszowanego w deseń, miała spódniczkę z powłoką, zgrabnie udrapowaną, w koło ogarnirowaną koronkami. Stanik zasznurowany z tyłu, przymarszczony na przodzie, przepasany był szarfą z gładkiego atłasu, związany w tyle na wielką kokardę. Przód spódniczki, tworzył fartuszek, całkiem przemarszczony ozdobiony koronką i gałązkami białej czeremki. Takiż bukiet na ramieniu i drugi do wpięcia między włosy ślicznie dopełniały ubrania.

Kolory przyjęte na suknie w tym roku, w ogólności blade i nie wydatne. Do najmodniejszych należą: *bleu lac*, blado niebieski, wpadający w zielonkowaty odcień; *rose-ivoire* różowo żółtawy; *ciel d'hiver*, bledziuchno błękitny, jak barwa zimowego nieba, *heliotropowy*, blado lilla wpadający w różowo. Noszą niemniej wszystkie odcienia blado-żółtawe zwane rozmaicie, *śmietankowym, kukurydzowym, mais, blé mur, ivoire* i t. p. Odcienia te, tak przypadły do smaku paryżankom, że od lat kilku rozstać się z nimi nie mogą.

Obok tych bladych sukien widzimy przecież i inne, jaskrawe aż do przesady. Taką na jednym z świetnych rautów, miała na sobie hrabina Potocka z domu Pignatelli. Suknia ta zwana *arlekińską* składała się cała z różnokolorowych kwadracików, wśród których przeważał atłas brunatny. Stanik do tego długi obcisły, podcięty po bokach, cały z brunatnego aksamitu, ogarnirowany był w górze koronką alansońską. Rękawy sięgające do łokcia, strojne były takiemiż mankietami. Suknia *à l'arlequin* stanowi dziś pierwszą nowość w Paryżu.

W Wielkiej Operze, uważaliśmy parę pięknych toalet, które tu opiszemy.

Suknia czarna atłasowa do ziemi, miała przedni bryt naszyty koronką i dżetem. Stanik do tego, zwany *Habit Louis XV*, z czarnego aksamitu, tworzył w tyle długą baskinę w rodzaju fraka. Z pod otwartych przodów wyglądała atłasowa kamizelka zahaftowana dżetem. Riusza koronkowa u szyi, przeciągnięta z przodu aż do pasa, przypięta była bukiecikiem z świeżych róż i heliotropu. Rękawy zakończone takąż riuszą.

Inna suknia atlasowa, koloru ciemno wiśniowego *(raisin de Corinthe)*, miała fartuszek z atłasu blado żółtego (ivoire), cały nagarnirowany koronką. Stanik ciemny, gładki, z baskiną rozchodzącą się po bokach, ogarnirowany był piękną sznelową frendzlą. Rękawy do łokcia, miały spadający mankiet koronkowy.

Z pomiędzy kostiumów codziennych, uważaliśmy jeden bardzo oryginalny, zasługujący na szczegółowy opis. Był on z tkaniny wełnianej oliwkowej w ciemniejszą kratkę. Spódniczka cała plisowana w zakłady sięgała do ziemi. Z przodu spadał przymarszczony fartuszek. Na wierzch szła polka, bufowana w tyle, podpinana po bokach. Stanik od niej, spinał się na dwa rzędy złotych guzików: od jednego rzędu do drugiego, przechodziły pletnie oliwkowe ze złotem. Rękawy stanowią najoryginalniejszą część tego kostiumu. Są one szerokie, krajane prosto, przymarszczone u ręki, i ujęte w pasek naszyty trzy razy złotą plecionką. Od ramion spadają fałdowane epolety, jakby dwa wachlarze. Kołnierz dosyć duży wyłożony naszyty trzy razy plecionką złotą, dobrze odpowiada całości. Z pod spodu wychodzi riuszka koronkowa.

W biżuteryach moda przybrała dziwaczny kierunek. Zwierzęta płazy i owady dostarczają licznych wzorów jubilerom. Widzieliśmy w Palais Rojal broszki przygotowane na kolendę. Jedna miała kształt ogromnego pająka z rubinowemi oczyma, druga *sowy*, trzecia *kraba*, czwarta *jaszczurki*. Z pomiędzy zwierząt były ciołki, kozy, słonie, koniki z rzędem i t. d.

Naszyjnik jeden, zwany *arką Noego*, składał się z najrozmaitszych zwierząt i ptaków.

Inne znów brosze naśladują wszelkiego rodzaju liście, pokryte emalią. Uważaliśmy między niemi ładny oset, i ładniejszy jeszcze liść paproci.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Dzielimy się z Czytelniczkami naszemi nadesłaną nam w liście kolendą przez autora Lirenki.

Urodził się Pan Jezus dzieciąteczko, dla zbawienia tego świata nędznego, i wszelkiego rodzaju ludzkiego, Matka Boża nad nim siedzi, raduje się, weseli, a Józef i anieli

Jako potrzeba służą,
Ani oka nie zmrużą,
Całą noc śpiewają: chwała
Dziecinko mała!
A dzieciątko leży
Prawie bez odzieży,
Na garsteczce siana,
Posłanie dla Pana
Niebiosów.

Aż ci człeku żałko,
Że na święte ciałko,
Nie ma okrywadka,
Przenajświętsza Matka
Ubożuchna Panienka,
Że całe ogrzanie
Ośięce chuchanie
I wole, i wole.
Aleć to marne słowa,
Bo gdy zechce się schowa
Za ten obłok biały,
Co idzie z za skały,
A pod nim raj mały,
Przeczystych, złocistych
Aniołów.

Nie bój się o nic człecze,
Mają tam o Nim pieczę,
Jeszcze lepsi od ciebie,
Co służą Panu w niebie;
Dzieciątko się śmieje
Aż w szopie widnieje.

+ W N-rze 259 „Biesiady Literackiej" Redaktor jej, sympatyczny „Sęp" robi bardzo dowcipne porównanie między rzeźnikami, piekarzami i... autorami dramatycznemi *u nas*. Myśl podobnego „równouprawnienia," nasunęła mu taksa złożona magistratowi przez rzeźników i piekarzy. „Taksa ta, mówi, opiewa co kosztują lepsze i gorsze kąski wołowiny, cielęciny i wieprzowiny, odróżnia jaśniejsze i ciemniejsze chleb i bułki—jednem słowem dowodzi gruntownej znajomości części składowych zwierzęcia i gatunków mąki — pomimo więc całej niechęci jaką mamy do producentów okrzyczanych za ździerców, musimy im przyznać kompetencyą. Gdyby tym ludziom umiejącym z taką finezyą obliczyć ile kosztują cztery nogi wieprzowe a ile cztery łapki prosięce, powierzyć oszacowanie umysłowych ruchomości autora dramatycznego, z pewnością prędzej byśmy się dowiedzieli ile warto zapłacić za człowieka co tworzy gwałtowne dramata lub wesołe komedye, a ile za takiego co komponuje tylko libretta, baleta i t. p. szopki. Tymczasem dyrekcya teatrów naszych nie przyjmuje żadnych klasyfikacyj, dla niej cztery szpony czy cztery pazurki autorskie to wszystko jedno..." I rzeczywiście jakiejże to normy w wyznaczaniu honoraryum autorom trzyma się dyrekcya Teatrów? Oto za jedno-aktową sztukę oryginalną 50 rs. za tłomaczoną 25 rs., za zapełniającą całe przedstawienie oryginalną 150 rs. za tłomaczoną 75 rs.—zła czy dobra wszystko to jedno, nie ocenia się wartości, ale mierzy na łokcie. Jedyną słuszną zasadą byłoby oznaczenie pewnej stałej tantiemy od dochodu z przedstawienia, jak to jest przyjęte na całym świecie; jedno-aktowa dobra sztuka więcej może przynosić kasie teatralnej niż nudna i bez zdolności napisana 4-ro lub choćby 5-cio aktowa — talentu łokciem ani funtem mierzyć nie można — widzieliśmy nawet premiowane, upadające po kilku przedstawieniach, jestże więc słusznem jednakowo wynagradzać ich autorów i tych których utwory długie lata nieraz utrzymują się na scenie? Wierząc w dobre chęci obecnej dyrekcyi, spodziewamy się że kwestyą honoraryów autorów dramatycznych, załatwi zgodnie ze słusznością—ale istnieje jeszcze druga, którą stanowią bilety bezpłatne udzielane autorom i tłomaczom. I nie jest to przecież *jakaś łaska*, ale *prawo przysługujące im na wszystkich scenach*—otóż w jakiż to sposób jest ono wykonywane u nas. Za każdem przedstawieniem autor czy też tłomacz musi osobiście lub piśmiennie udawać się do dyrekcyi z prośbą o bilety, czekać nieraz parę godzin aby nareszcie otrzymać upoważnienie do kasy o wydanie—jednego lub dwóch biletów do krzeseł, bez wskazania w którym rzędzie; z tem musi znowu wędrować do kasyera czy kasyerki, i tam otrzymuje nareszcie bileta w najostatniejszych rzędach. Zamiast zatem obyczaju, *proszenia* za każdym razem, czyż nie lepiej zaraz przy pierwszem przedstawieniu wydać upoważnienie na każde, z oznaczeniem liczby biletów. Obie strony zyskałyby na czasie. Należy mieć nadzieję że obecny prezes i komitet teatralny, uwględnią tak słuszne żądanie.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 24 Декабря 1880 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 2 r. 1880|1.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

Pani d'Éricey zadzwoniła. Spełniając jej rozkaz, służąca przyniosła stos gaz, materyj i innych wyrobów wschodnich i rozłożyła je na stole. Rozpatrzywszy się w nich uważnie, pan d'Éricey odłożył piękną sztukę materyi w niebieskie paski na srebrnem tle, z bardzo pięknym połyskiem, dołączył do niej odpowiednią prześlicznie haftowaną szarfę, a resztę odtrącił.

— Bierę to, rzekł, u ciebie leży bezużytecznie, dodał z pewnem zakłopotaniem, a ja przegrałem właśnie zakład z naszą sąsiadką panią de Saron.,.

— Ależ ta materya na nic się nie zda osobie w wieku pani de Saron.

— A! co mi tam! odrzekł z gniewem, i zabierając odłożone jedwabie, zwrócił się ku drzwiom.

— Feliksie, zapytała łagodnie Stefanja, czy będziesz dziś w domu na obiedzie lub czy wyjeżdżasz?

— Wyjeżdżam a na obiedzie będę w klubie.

— Pytam się dla tego że pan de Fleynac, towarzysz moich lat dziecinnych, powrócił z podróży, i chciałabym go zaprosić.

— A któż ci broni, moja kochana, zapraszaj kogo chcesz; ja ci przecież nie zawadzam.

Boleśny wyraz odbił się w twarzy młodej kobiety.

— Lecz skoro cię nie będzie w domu... a że ma być pierwszy raz...

— Hum... dla Fleynac'a... wybornie notowany w klubie... jeźli uprzedzisz mnie wcześnie „ w przyszłym tygodniu...

— Czyby nie można we wtorek?

— Może .. zawiadomię cię... Adieu, baw się dobrze.

Skinął ręką i wyszedł.

Pani d'Éricey smutnie zwiesiła głowę! jeszcze więcej matowa bladość pokryła powabną jej twarzyczkę, nerwowym ruchem skrzyżowała ręce na piersiach. Ta znudzona obojętność męża nie była dla niej nowością, a jak ta krótka rozmowa dowodzi, żyli najzupełniej rozłączeni. Pobrali się przed trzema laty, i zaraz w pierwszych miesiącach pożycia któremu wszystko zdawało się zapewniać szczęście, Stefania musiała rozstać się z wszelkiemi złudzeniami. Ale zanim podamy dalszy ciąg tej opowieści, musimy cofnąć się w przeszłość aby dać poznać czytelnikowi jak się to stało że Stefanja de Santis została panią de d'Éricey.

III.

Stefania de Santis nie zaznała nigdy pierwszych rozkoszy lat dziecinnych. Ojciec jej, człowiek bardzo zdolny i wysoko wykształcony, lubił namiętnie zajęcia umysłowe i zanadto im się oddawał. Matka jej przeciwnie, piękna, żywa, wesoła, marzyła tylko o rozkoszach i uciechach światowych; pragnęła hołdów i pochlebstw, pragnęła błyszczéć w najświetniejszych salonach paryzkich — innego szczęścia pojąć nie umiała. W takich warunkach, pożycie państwa de Santis nie mogło być szczęśliwem. Po kilku latach, pan de Santis postrzegł się że może nie dość troskliwie czuwał nad żoną i postanowił nareszcie wyrwać ją z szalonego wiru zabaw nie jednem grożących jej niebezpieczeństwem, co zwiększyło jeszcze nieporozumienia oddawna już dzielące ich serca i nawyknienia. Na domiar złego, delikatne zdrowie pani de Santis, której od dawna zagrażała choroba organiczna, nie zdołało oprzéć się zgubnemu wpływowi zbyt wyczerpujących siły zabaw. Już mocno cierpiąca przybyła do pałacu des Roques, w dobrach jakie mąż jej posiadał na Południu, i wkrótce widocznem było dla wszystkich prócz niej, że zdrowie jej pogorszało się z dniem każdym. Pan de Santis otaczał ją najtkliwszą pieczołowitością, czynił co mógł aby ją rozerwać i pocieszyć.

W pożyciu tych dwojga istot, które nie przyznając się do tego, cierpiały jedna przez drugą, jedyne ich dziecię, siedmioletnia córeczka powina była ważne zająć stanowisko; niestety! smutna okoliczność odsunęła ją na drugi plan. Dziecko to było chude, czarne i brzydkie. Była bardzo wązka w ramionach miała ręczyny chude i długie jak łapy pająka, usta zdawały się nieproporcyonalnie szerokie, oczów nie było można widzieć, gdyż miała je zawsze spuszczone w ziemię. Ruchy i chód jej były bardzo niezręczne tak że piękne stroje sprawiane przez matkę, czyniły ją podobną do ustrojonej małpki. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie robiła w eleganckim świecie; to też po kilkakrotnych daremnych próbach, widząc że najpiękniejszy ubiór odmienić jej nie zdoła, matka odesłała napowrót małą małpeczkę, jak ją nazywała, do dziecinnego pokoju, gdzie, na szczęście szczerze przywiązana do niej bona angielka Sara, otoczyła ją najtroskliwszą opieką Co do ojca, ten całkiem oddany swoim troskom i pracom naukowym, na dziecko kilkoletnie nie zwracał prawie uwagi.

I tak biedna dziewczynka byłaby zapewnie cały wiek swój dziecinny spędziła z boną w *nursery* (pokój dziecinny) gdyby pan de Santis nie miał przyjaciela w sąsiedztwie swej majętności des Roques. Jakkolwiek całą duszą wieśniak, hrabja de Fleynac lubił bardzo rozrywki umysłowe. Był wdowcem i miał tylko jednego syna który kończył edukacyę w Paryżu. Tylko wązka rzeczułka oddzielała majętność jego la Belourde od dóbr des Roques, łatwo mu więc było odwiedzać przyjaciela, i nieść słowa pociechy i przyjaźni do domu w którym dogorywała młoda jego pani. Wkrótce stał się tam niezbędnym, oczekiwano go zawsze z upragnieniem i jedna tylko obecność tego nieocenionego przyjaciela zdolną była rozpraszać chmurki zasępiające horyzont życia tej niedobranej pary. Pan de Fleynac uczuł w sercu swojem żywe współczucie i litość dla biednej dziewczynki, którą w domu uważano jakby za pogardzoną parię, i nigdy nie opuścił pałacu des Roques, nie zobaczywszy rnie popieściwszy tej którą nazywał *małą Muni* (Mouni) co w narzeczu miejscowem znaczy małpeczka. Odtrącona przez swoich, dziewczynka dowiodła wkrótce że biedne jej serduszko nie jest ani niewdzięczne ani pozbawione uczucia.

Ilekroć hrabia wychodził od pani de Santis, zastawał zawsze małą Stenię która oczekiwała go siedząc na schodku peronu. Nie odstręczał ją ani upał ani długie oczekiwanie; gdy wychodził biegła do niego, chwytała jego rękę i szła tak z nim ku rzece wraz ze swą nieodstępną Sarą. Do promu po nad rzeczką wiodła droga przez las stuletnich dębów i buków; idąc Stenia rozmawiała swobodnie i otwarcie, ze szczególnym zarazem taktem jak na tak młode dziecko, gdyż nigdy ani jednem słówkiem nie skarżyła się na swą samotność i opuszczenie. Tylko jeźli przypadkiem w ciągu tej rozmowy wspomniano o matce, lekki rumieniec pokrywał blade jej policzki i rzewny jakiś smutek zastępował swobodną wesołość.

Pewnego razu, odprowadzając przyjaciela, pan de Santis zastał Stenię siedzącą na schodku. Biedna chciała uciekać, ale już pan de Fleynac ujął jej rączkę, pan de Santis wziął drugą rękę córki i szła tak między nimi nie mieszając się do rozmowy. Gdy wracając Stenia szła obok ojca nie śmiejąc przemówić. tenże po chwili wskazał jej rosnący w lesie kwiatek, wymienił jego nazwę i własności. Po raz pierwszy wtedy dziewczynka podniosła ku niemu swe duże, pełne życia oczy, i wtedy postrzegł że twarzyczka jej zmieniła się do niepoznania, jakby za dotknięciem czarnoksięzkiej laseczki.

— Nie jest znów przecie tak bardzo brzydka! pomyślał sobie ojciec, zobaczywszy pierwszy raz twarzyczkę jej tak ożywioną.

Gdy powróciwszy, odchodził do siebie, Stenia wspięła się na paluszki i nieśmiało ale serdecznie go pocałowała, co sprawiło mu wielką przyjemność i słodkie w sercu jego zbudziło uczucie.

Odtąd już codziennie odprowadzał przyjaciela na wybrzeże, a mała Muni sama nie umiałaby powiedzieć którego ze swych opiekunów więcej kochała. W twarzyczce jej odbił się wyraz pogody i spokojnego szczęścia, co nieznanego dotąd dodało jej powabu, a odbłysk tego uszczęśliwienia dostrzedz można było w licach pana de Santis.

Życie jego było teraz jednem długiem pasmem smutku i boleści. Pani de Santis coraz więcej traciła siły, i bywały chwile w których sama zaczynała pojmować niebezpieczny stan swego zdrowia. Już to ogarniało ją nerwowe przerażenie, już znów boleśniejsze jeszcze, bo niepodobne do ziszczenia nadzieje, a kaprysami i wymaganiami swemi dręczyła nieustannie męża o którego tak długo nie dbała. To też jedyną rozrywką pana de Santis bywały teraz przechadzki z małą córeczką, a wieśniacy spotykający go mówili do siebie naiwnie:

— Biedny pan, idzie ze swoim opiekuńczym aniołkiem!

Ale, choć całkiem bezwiednie, Stenia miała wywrzéć wpływ daleko ważniejszy jeszcze.

Pewnego dnia, pan de Santis wyjechał za interesem, a matka będąc w wyjątkowo dobrem usposobieniu, kazała przywołać Stenię. Dziewczynka swobodniejsza teraz i uszczęśliwiona przyjaznem usposobieniem ojca i przychylnością pana de Fleynac, szczebiotała wesoło, co zdawało się bawić chorą; uściskała nawet córkę i rzekła z uśmiechem:

— Zdaje się że mała małpka robi się trochę milsza.

Po chwili słabo jej się zrobiło i zawołała na Stenię aby jej podała szklankę wody stojącą na stole. Dziewczynka niosła ją ostrożnie, wtem przytłumiony krzyk matki przykuł ją do miejsca; pani de Sansino blada opadła na szeslong, spazmatyczny atak

zapierał jej oddech,—zaledwie miała siłę wskazać na dzwonek. Pomimo niewysłowionego przestrachu, dziecko nie straciło przytomności, i pociągnęło za sznur od dzwonka. Sara i panna służąca przybiegły w tej chwili, i za użyciem odpowiednich środków, pani de Santis przyszła do siebie. Ale nerwy jej nader silnie zostały wstrząśnięte; podczas trwania ataku, uczuła jakby tchnienie śmierci i jakaś nieokreślona ogarnęła ją trwoga. Gdy Sara i służąca odeszły, wsparła głowę na dłoni i zaczęła płakać, mówiąc:

— Umierać!... ależ to strasznie!... to okropnie!...

— Nie, mamo, odezwał się słaby głosik, to nic tak strasznego. Dobry Bóg udziela swej opieki i pomocy, i idzie się do niego, a w niebie lepiej jak tutaj.

Podniosłszy głowę zobaczyła Stenię wpatrującą się w nią z uczuciem; w oczach jej można było czytać że mówi z przekonaniem. Mocno zmięszana zapytała:

— Kto ci to powiedział?

— Sara, bo tak napisane jest w katechizmie i ksiądz proboszcz tak naucza w kościele. I to prawda, mamo, bo byłyśmy u starej Joanny kiedy była bardzo chora; dzieci otoczyły ją płacząc, a ona im mówiła: „Nie płaczcie, mnie tak dobrze. Dobry Bóg i Święta Matka Jego dodają mi odwagi, a gdy zamknę oczy wezmą mnie do siebie i tam będę bardzo szczęśliwa!..." Potem ksiądz proboszcz ją pobłogosławił i taka zdawała się spokojna!

— Saro! Saro! zawołała chora, wyprowadź ją!

Dowiedziawszy się co zaszło, Sara westchnęła ale nie połajała swej pieszczoszki.

I ziarnko to które zdawało się padło na jałową opokę, nadspodziewane wydało owoce. Pewnego poranku, pani de Santis przyzwała do siebie proboszcza, zacnego i świątobliwego kapłana, który widać umiał przemówić do niej słowami pociechy, gdyż prosiła aby ją często odwiedzał. Uczuła że ogarnia ją jakiś nieznany przed tem spokój; stosunek jej z mężem był teraz daleko lepszy; zebrania w małem domowem kółku—do których i Stenia była przypuszczona,—stały się milsze i swobodniejsze, i nawet zdrowie chorej zdawało się polepszać.

Raz, w piękny wieczór wrześniowy czyste niebo pięknym jaśniało błękitem, a powietrze było ciepłe jak w lecie, i pani de Santis zapragnęła przejść się nieco po ukwieconym tarasie wznoszącym się po nad rzeką. Ostatnie odbłyski zachodzącego słońca oświecały krajobraz; prom przesuwał się cicho po błękitnych falach; po drugiej stronie rzeki wioska niknęła w cieniu padającym od gór. Śpiew ptasząt dolatywał z lasu; woń kwiatów rozchodziła się w powietrzu. Pani de Santis westchnęła, a po chwili rzekła:

— Jak tu dobrze, jak błogo!

W chwilę później dostrzegła przybijający do brzegu prom, a na nim dobrze znaną postać.

— Otóż nasz stary przyjaciel, rzekła do męża; pójdź na jego spotkanie, ja już wrócę do pokoju.

Pan de Santis odprowadził ją na szeslong; spoczęła na nim mówiąc:

— Daleko lepiej się dziś czuję.

Niezadługo pan de Santis wszedł z przyjacielem do pokoju i spostrzegł z zadziwieniem Stenię klęczącą przed szeslongiem, z główką pochyloną na złożone jak do modlitwy rączęta. Gdy się zbliżył, dziewczynka rzekła cicho:

— Mama śpi; modliłyśmy się razem do Bozi.

Głośny krzyk wydarł się z piersi pana de Santis, a jednocześnie pan de Fleynac porwał Stenię na ręce i wyniósł do drugiego pokoju. Oddawszy ją Sarze, powrócił do salonu. Wszystkie dzwonki odezwały się nagle; służba biegała na wszystkie strony Sara zaniosła Stenię do swego pokoju i trzymała na kolanach: dziewczynka nic nie mówiła i o nic nie pytała.

Nareszcie pan de Fleynac wszedł do pokoju, zbliżył się i czule pocałował Stenię, zwróciła na niego poważne, zadumane spojrzenie i zapytała cicho:

— Wszak mama poszła do nieba?

— Tak, moje dziecię, ona już szczęśliwa; prosi Boga aby nas kiedyś połączył.

— Tak właśnie kazała mi się modlić zanim zasnęła, a gdym skończyła powiedziała cichutko: Amen!

Łzy zabłysły w oczach pana de Fleynac; uściskał dziewczynkę i powrócił do przyjaciela który tak potrzebował pociechy, gdyż tak nagła śmierć żony rozjątrzyła jeszcze jego bolesne rany.

IV.

Wiele lat upłynęło; Stenia była już dorosłą panienką. Pan de Santis od śmierci żony nie opuszczał Południa i swego pałacu des Roques, oddając się wyłącznie pracom literackim i edukacyi córki.

I w tym razie pan de Fleynac był bardzo pożytecznym swej małej przyjaciółce. Pozostawił ojcu kształcenie umysłu córki, lecz aby edukacya ta nie była znów zanadto męzka, wprowadził do niej dwa żywioły, które miały stać się jedyną rozkoszą młodocianych lat Steni. Uczył ją muzyki którą znał doskonale i którą Stefanja polubiła namiętnie, a gdy pan de Santis zamknięty w bibliotece oddawał się ulubionej umysłowej pracy, on stawał się kierownikiem zewnętrznego życia dziewczyny.

Czy to na małym poneyu czy piechotą, Stefanja towarzyszyła mu codziennie w niezmordowanych jego wycieczkach miłosiernych. Często zatrzymywano ich w drodze, już to prosząc o lekarstwo, już o radę lub pomoc zanim nadejdą żniwa. Wstępowali do ubogich domków krytych dachówką, z gankami opleconemi dzikiem winem, a dobre słowo i jaka taka pomoc, przynosiły ulgę biednym ich mieszkańcom. Zdawało się że błogosławieństwa ich unoszą się nad powracającymi, rozweselając wieczory spędzane we troje w Roques lub la Belourde.

Ale najszczęśliwsze były owe tygodnie w których syn pana de Fleynac, ukochany Jerzy, przybywał do rodzicielskiego domu. Pan de Santis żywił dla niego w sercu równie gorące przywiązanie jak stary jego przyjaciel dla Steni. Prawy, łagodny i otwarty charakter młodzieńca, zjednywał mu ogólne uznanie.

Stefania całą duszą kochała Jerzego: był on jej opiekunem, towarzyszem zabaw, głównym przedmiotem jej myśli, jakby połową całej jej istoty. Bawiąc się z nim już to była niby despotką, już ślepo posłuszną; w rzeczywistości nie miała innych upodobań i pragnień, innej woli jak jego. Gdyby w czemkolwiek nie podzielała jego zdania, byłaby go się wyrzekła dla niego, gdyż serce jej pełne było bezgranicznego poświęcenia dla ukochanych swoich—ale nigdy podobna nie zachodziła potrzeba, gdyż czuła z nim i myślała jednakowo. O tem jedynie myślała aby nie stracić ani jednej chwilki którą mogła spędzić z ukochanym bratem, a wspomnienie ich do końca roku przechowywała w duszy. I trudno oznaczyć kto częściej rozpoczynał rozmowę o ukochanym oddalonym — ona czy pan de Fleynac.

Ale nic nie ma stałego na świecie; więc też i to życie tak ciche i proste jakie wiedli w spokojnem ustroniu, nie mogło nie uledz nieuniknionemu wpływowi mijających lat. Gdy pani de Santis umarła, Jerzy miał już lat czternaście; gdy skończył nauki nastały dlań wesołe lata młodzieńczego życia. Gorąco kochając ojca i rodzinne Południe, często przyjeżdżał do Belourde, ale wpływ świata i Paryża, podróże do których nakłonił ojciec, były powodem dłuższych nieobecności. Obrał sobie zawód dyplotyczny i dwa lata spędził w Niemczech; ojciec pojechał go tam odwiedzić, i za powrotem przywiózł dobrą wiadomość że Jerzy wróci przed jesienią. Cóż to była za radość! jakkolwiek z odmiennych pobudek ale i pan de Santis i córka jego zarówno pragnęli jego przybycia.

Nadszedł nareszcie dzień upragniony, kiedy hrabia przywiózł ukochanego syna do Belourde. Jerzy przyjechał dość późno, wieczór zapadał gdy usieli z ojcem w ogrodzie, oddychając z rozkoszą orzeźwiającem powietrzem.

Siwowłosy starzec ująwszy rękę syna, utkwił zamyślone spojrzenie w roztaczającej się przed niemi równinie. Rzeka wiła się wdzięcznie wśród stromych skalistych wybrzeży, po nad któremi widniały rozsiane tu i owdzie zielone gaje i domki pokryte czerwonym dachem. Na wzgórzu od strony zachodu, widać było pałac des Roques, a czworokątna jego wieżyca i spadzisty taras ogrodu, odbijały się w przejrzystych falach rzeki. Otaczające go stuletnie drzewa, rosły na tak raptownej pochyłości, iż zdawało się że stare zamczysko zawieszone jest po nad wodą.

Spojrzenia pana de Fleynac zwracały się ciągle ku tej ukochanej sobie stronie z wyrazem niewysłowionego uczucia, dostrzegł to Jerzy i rzekł z uśmiechem:

— Chyba nie jest prawdą co mówią, że wiek osłabia nasze uczucia, bo widzę, kochany ojcze, że gorące przywiązanie twoje do małej małpki jest równie silne jak dawniej,

— Jerzy, czyż nigdy nie zapomnisz tego niedorzecznego przezwiska! odrzekł żywo pan de Fleynac

— Ojcze drogi, przecież nazwa *Muni* nie jest znów tak bardzo brzydsza od „Steni" jak ją zwykle nazywasz? ale żart na stronę, czy też nie wyładniała trochę od czasu gdy owe przezwisko tak było właściwem?

— Hum, odrzekł pan de Fleynac, przecież to jeszcze dziecko.

— Tak, ale dziecko mające lat szesnaście.

Zaledwie Jerzy wypowiedział te słowa, w końcu alei ukazała się biegnąca ku nim długa i chuda postać, i podlatując prędko, bez wahania zarzuciła ręce na szyję młodzieńca, wołając:

— Jerzy! Jerzy!

Dziewczę, dziecko bez żadnej złej myśli, powitało tak serdecznie przyjaciela lat dziecinnych, jak ukochanego, dawno nie widzianego brata. Jerzy zmieszany nieco, pocałował ją w czoło. Był już mężczyzną: życie nie miało żadnych dla niego tajemnic, to też to niewinne, pełne prostoty uczucie dziewczęcia nie znalazło echa w jego sercu. Ona prędko opuściła ręce, jakby przeczuwając instynktownie oziembłość przyjaciela. Pewien niepokój odbił się w jej twarzy, utkwiła w Jerzego powłóczyste spojrzenie swych wielkich oczu. Lecz Jerzy ochłonął prędko i uścisnął przyjaźnie ręce Steni; czoło jej wypogodziło się—biedna! nie domyślała się co było powodem że powrócił do dawnej poufałości.

(d. c. n.)

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

W tej błogiej epoce mego życia, tylko kuzynka Maryanna była zawsze i ze wszystkiego niezadowolniona. Dziadek i babka byli w najlepszym humorze, ciotki dawały mi ciągłe dowody przywiązania, z małymi kuzynami i kuzynkami żyłam w najlepszej zgodzie, pan Moore był dla mnie bardzo uprzejmym, a kuzyn Ulryk zdawał się bardzo szczęśliwym. Wszyscy byli tak dla mnie życzliwi, że widzieli tylko to co było dobrem w moim charakterze, gdy przeciwnie kuzynka Maryanna upatrywała coś nagannego w każdym moim kroku i domyślała się czegoś złego w każdem mojem słowie.

Jeżeli się śmiałam mówiła że jestem ordynarna i źle wychowana; kiedy milczałam oświadczała że nie może znieść osób wiecznie zadąsanych; moją usłużność dla dziadka i babki nazywała lizusostwem, a niewinną wesołość z panem Moore, kokieteryą. Nie mogła zrozumieć dla czego familja moja obsypywała mnie podarunkami, i psuła pieszczotami; to że miałam iść za mąż, nie upoważniało nikogo do przewracania mi w głowie. Przewidywała różne nieszczęścia które miały wyniknąć z nierozumnego zadurzenia się jej brata, wszelkie trudy jakie ponosiła koło mego wychowania będą zupełnie stracone, dobry przykład jaki mi dawała zawsze, zostanie zapomnianym, dla tego też ze drżeniem spoglądała w przyszłość. Słowem kuzynka Maryanna nie mogła już okazać się mniej życzliwą dla mnie, i sądzę że gdyby brat nie powiedział jej stanowczo aby nie wracała do Rockborough, byłaby już dawno pośpieszyła tam, gdzie jej było wolno rozkazywać i gderać do woli.

Chcąc zemścić się za ten przymus zadawany jej z mego powodu, rozciągała nademną, — w czasie nieobecności kuzyna Ulryka, który tylko dwa razy na tydzień przyjeżdżał na obiad do Trampton,— jakiś rodzaj dozoru zarówno niewłaściwego jak uwłaczającego dla mnie, bo nietylko że przez to śledzenie moich czynności pozbawiała mnie często najniewinniejszych nawet rozrywek, ale jeszcze zdradzała zupełny brak wiary w moją skromność i przyzwoitość. Czułam żywo wyrządzaną mi przez nią zniewagę, ale nie chciałam żalić się przed kuzynem Ulrykiem, wiedziałam że z powodu grasującej w Rockborough choroby nie ma prawie chwili odpoczynku, jakże więc mogłabym niepokoić go jeszcze mojemi skargami? Przyjeżdżał do Trampton aby się rozerwać, wypocząć, nabrać sił nowych do swej uciążliwej pracy, a nie po to aby mu narzucano niemiłe zadanie przywracania zgody między dwiema powaśnionemi kobietami.

Nabrałam zresztą przekonania że kuzynka Maryanna tak samo nie mogłaby żyć bez zrzędzenia i dokuczania komuś jak bez powietrza, i uzbroiłam się w cierpliwość, pocieszając się tą myślą że wkrótce nie będzie mogła przewodzić i że zbliża się chwila w której prócz mego drogiego Ulryka, wszyscy będą musieli wyrzec się władzy nademną, a kuzynka Maryanna nawet poniekąd ulegać mojej.

Jednak w tem ciągłem śledzeniu wszystkich moich czynności było coś prawdziwie nieznośnego, nawet wyzywającego; czy naprzykład podobno aby mnie to nie drażniło kiedy widziałam że ile razy pan Moore usiadł przy mnie i zaczął rozmawiać, kuzynka Maryanna zbliżała się natychmiast i zabierała koło nas miejsce, a gdy wyszliśmy do parku jak cień ścigała nas wszędzie. Najwięcej jednak to mnie gniewało, że czytałam w jej oczach, dorozumiewałam się z jej mowy oburzającego posądzenia że zwodzę jej brata lub też pana Moore. Pewna mej niewinności pod tym względem, czując że kocham kuzyna Ulryka nad wszystkich w świecie, wiedząc że lubię pana Moore tylko jako przyszłego męża mej przyjaciółki, oburzałam się takim brakiem zaufania, i z trudnością powstrzymywałam wybuchy gniewu.

Pewnego dnia wieczorem pan Moore zdawał się niecierpliwie oczekiwać sposobności pomówienia ze mną, a słodka moja kuzyneczka czyniła wszystko co mogła aby przeszkodzić temu.

Kiedy siadaliśmy do obiadu, pan Moore chciał, jak zwykle usiąść przy mnie, ale kuzynka Maryanna zabrała mu miejsce, i uszczęśliwiła mnie swojem sąsiedztwem; po obiedzie, kiedy przeszłyśmy do biblioteki, ani na chwilę nie spuszczała mnie z oczu, a skoro zbliżyłam się do drzwi chcąc iść po książkę zawołała cierpko:

— Gdzie idziesz, Teodoro?

— Po książkę.

— Gdzież ją zostawiłaś?

— W moim pokoju.

— Byłoby daleko lepiej gdybyś siedziała spokojnie, zamiast kręcić się ciągle po całym domu.

— O! i owszem pozostanę tu chętnie, jeżeli, kuzynko Maryanno przyniesiesz mi sama książkę.

Ale miss Ford nie odpowiedziała ani słowa, i udałam się sama do mego pokoju. Wracając spotkałam panów wychodzących z sali jadalnej, i tym sposobem weszłam razem z nimi do biblioteki, za co kuzynka Maryanna rzuciła na mnie pełne gniewu a zarazem podejrzliwe spojrzenie.

— Jeżeli, rzekła, chcesz zająć się czemś użytecznem, Teodoro, to dopomóż mi zwinąć ten motek bawełny dla babuni.

— A! kuzynko Maryanno, taki śliczny wieczór, i chcesz go przepędzić w pokoju. Wszakże mieliśmy wszyscy pójść do ogrodu.

— Nic o tem nie słyszałam, odpowiedziała obojętnie, a zresztą gdyby piękna pogoda upoważniała do próżnowania, to nie robilibyśmy nic przez sześć miesięcy w każdym roku.

Była prawdziwie odrażająca kiedy patrzyła na mnie zacisnąwszy usta i zmarszczywszy brwi, ale przypomniałam sobie czyją jest siostrą, i postanowiłam zastosować się do jej życzenia, pocieszając się tą myślą że na zwinięcie kilku pasm bawełny nie wiele trzeba czasu.

— Dobrze, pomogę ci kuzynko Maryanno, a później dopiero pójdę do ogrodu.

Założyłam bawełnę na ręce gdy tymczasem reszta towarzystwa wyszła do parku. Pan Moore sądząc że wkrótce uwolnię się od zadanej mi roboty, usiadł na kanapie i czekał, aby razem ze mną wyjść do ogrodu. Tymczasem zwijanie trwało bardzo długo; było to dla mnie zawsze niemiłe zajęcie, ale obecnie wydawało mi się nieznośnem, a widziałam że kuzynka Maryanna przedłuża je rozmyślnie. Po niejakim czasie, Ernest Moore zniecierpliwiony rzucił gazetę i zbliżył się do nas.

— Czy pani nie wyjdzie dziś do ogrodu, miss Fleming?

— I owszem, jak tylko zwiniemy ten motek bawełny.

Wziął gazetę, usiadł na kanapie i tak upłynął znów kwadrans.

— Już późno, odezwał się w końcu. Czy ten piekielny motek nigdy się nie skończy?

— Nie trzeba być tak niecierpliwym, rzekłam śmiejąc się, chociaż co prawda niecierpliwiłam się sama.

— Zwińmy lepiej wszystko kiedyśmy zaczęły, odezwała się najspokojniej kuzynka Maryanna, wkładając mi na ręce drugie ćwierć funta bawełny.

Pan Moore zniecierpliwiony, napisał coś na marginesie gazety, a potem udając że chce zobaczyć czy dużo mamy jeszcze bawełny, przechylił się przez stół, i tak przysunął do mnie gazetę że przeczytałam *Wiadomości*. Nie napisał nic więcej, ale domyśliłam się że te wiadomości muszą dotyczeć Felicyi lub pana Dawid'a, i postanowiłam że muszę dowiedzieć się o co idzie tegoż jeszcze wieczora. Niecierpliwiłam się że miss Ford zwija tak wolno, a gdy wreszcie doczekałam się końca, wstałam prędko z krzesełka nie zważając że jeszcze pół funta bawełny pozostało na stole, i uciekłam od mej prześladowczyni.

— Dosyć już będzie na dziś, kuzynko Maryanno, ręce mi poszytywniały i nie mogę trzymać dłużej.

— Co za brednie odpowiedziała cierpko, gdyby cię mogło zmęczyć tak lekkie zajęcie, jakże potrafiłabyś podołać tym które cię czekają w przyszłości? Ale skoro nie chcesz mi pomagać dłużej, to może powiesz przynajmniej gdzie się tak spieszysz?

— Do ogrodu, ma się rozumieć.

— Do ogrodu? tak późno! Żartujesz zapewnie. Babka twoja i ciotki wrócą za chwilę, i zdaje mi się że lepiej abyś nie wychodziła wcale.

— O! kuzynko Maryanno, trochę zadaleko posuwasz żarty, odpowiedziałam śmiejąc się; dopomagałam ci tak długo i cierpliwie do zwinięcia bawełny, a teraz chcesz mnie jeszcze pozbawić przechadzki. Na to zgodzić się nie mogę, i dla tego odchodzę.

Pobiegłam do mego pokoju, włożyłam kapelusz i zarzutkę, i poszłam prędko do ogrodu gdzie pan Moore oczekiwał na mnie; ale zaledwie uszliśmy kilka kroków, i kiedy zapytałam go niespokojnie jakich wiadomości chce mi udzielić, kuzynka Maryanna już była przy nas.

— Skoro już postanowiłaś, Teodoro, postępować wbrew życzeniu mego brata, i narażać się na rosę wieczorną, uważam sobie za obowiązek towarzyszyć ci, i chronić od niebezpieczeństwa. Pójdziemy gdzie tylko zechcesz, ale spodziewam się że przez wzgląd na własne nasze zdrowie, wrócimy do pałacu najdalej za pół godziny.

Pan Moore spojrzał na mnie, ja na niego, ale że niepodobno było uchronić się od towarzystwa miss Ford, musieliśmy uledz konieczności, i pochyliwszy głowę, udaliśmy się do kwiatowego ogrodu.

XIII.

Jeszcze z pamiętnika Dory.

W kilka minut później spotkaliśmy resztę towarzystwa, i natychmiast podałam rękę babuni sądząc że tym sposobem uwolnię się od kuzynki Maryanny, której lady Halsted nie lubiła; ale ponieważ pan Moore szedł po drugiej stronie, miss Ford sądziła że nie powinna mnie odstąpić ani na chwilę.

— Jak dawno widział pan moje storczyki, panie Moore, zapytała babunia; doprawdy tak są piękne że roskosz patrzyć na nie; daj mi klucz, Marry.

Dziwna rzecz, że babunia zwykle bystra i przeni-

kliwa pod każdym względem, stawała się łatwowierną i naiwną jak dziecko gdy szło o jej kwiaty. Nie pytała się czy goście jej znają się na uprawie kwiatów, a nawet czy je lubią; musieli zachwycać się nimi, jeżeli nie chcieli aby powzięta o nich złe wyobrażenie, dla tego też, pomimo że Ernest Moore nie potrafiłby rozróżnić storczyka od kartofla, pomimo że kuzynka Maryanna pogardzała całem królestwem roślinnem, z wyjątkiem jedynie jego przedstawicieli służących za pokarm, pomimo że ja pragnęłam dowiedzieć się jak najprędzej wiadomości którą mi udzielić zamierzano, musieliśmy towarzyszyć lady Halsted do cieplarni przeznaczonej dla roślin storczykowatych, i podziwiać wraz z nią piękność jej ulubieńców. Ma się rozumieć że nie mogliśmy tu już iść obok siebie, szliśmy więc jedno za drugim jak kaczki idące w pole. Ja szłam za babunią, dalej pan Moore, a na końcu kuzynka Maryanna, ponieważ obie ciotki wróciły do domu.

Powtarzaliśmy więc na wyścigi.—A! jakże to piękne.—Jakże to osobliwe.—To zupełnie podobne do pszczoły.—Możnaby przysiądz że to mucha.—Zdaje się że to prawdziwy pająk.—To znów wybornie naśladuje ptaszka, i t. d.,—dopóki nie wyczerpaliśmy całego zasobu porównań i wykrzykników zachwycenia.

Ernest Moore zbliżył się wtenczas do mnie tak blizko że chcąc się usunąć trochę o mało co nie popchnęłam babuni na jakiś nader rzadki okaz storczyków.

— Ostrożnie, panie Moore, zawołałam śmiejąc się, ale jednocześnie spostrzegłam że mój sąsiad stara się wsunąć mi coś w rękę.

— Prześliczna roślina wszak prawda miss Fleming? rzekł pochylając się naprzód jakby chciał przyjrzeć się lepiej kilku brunatnym gałązkom stojącym przed nami w doniczce. Jest to o ile mi się zdaje *beetle orchis* (storczyk chrząszcz) czy też *beadle orchis* (storczyk bedel), wszak prawda?—a potem dodał cicho: „niech pani weźmie ten bilecik,“ i wyciągnął tak rękę abym w niej mogła list zobaczyć.—Oto Bumbledonia Dikenia, jak wnoszę z jej kwiatów.—Zalecono mi abym pani oddał ten bilecik tak aby tego nikt nie widział.—Jakże musi być zajmującem (czy pani już wzięła?) badanie roślin storczykowych.

Zaledwie spojrzałam na kopertę, poznałam na niej pismo którego pragnęłam nie widzieć nigdy, pismo pana Dawid'a, pomimo to już miałam wziąć ten list nieszczęsny, kiedy babunia zwróciła się ku nam nagle, co mnie tak zmieszało, że mi wypadł z ręki.

— Co pan mówi panie Moore? Czy ta odmiana nazywa się rzeczywiście Bumbledonia? Nie słyszałam jeszcze podobnej nazwy. Czy pan nie wie kto pierwszy otrzymał tę odmianę? Chciałabym bardzo dowiedzieć się tego, gdyż dotąd ja i Brumlow sądziliśmy że posiadamy coś całkiem jeszcze nieznanego. Czy ojciec pana zajmuje się także hodowaniem storczyków.

Nie słyszałam odpowiedzi pana Moore, zajęta jedynie tym nieznośnym listem, którego napróżno szukałam nogą. Steczka była tak wązka i staliśmy tak blizko siebie że chcąc się schylić musiałabym poruszyć wszystkich, i zwrócić uwagę na przedmiot moich poszukiwań Nie podobno mi także było stać dłużej na jednem miejscu, i byłam zmuszona pójść za babunią nie uprzedziwszy nawet pana Moore że list wypadł mi z ręki. Pocieszałam się jedynie tą myślą że gdy dojdziemy już do końca cieplarni, potrafię wysunąć się naprzód, i wracając podniosę ten list przeklęty.

Omyliłam się niestety! gdyż zaledwie uszliśmy kilka kroków, spostrzegłam z przerażeniem że kuzynka Maryanna schyliła się raptem, zobaczywszy na ziemi przedmiot nie należący wcale do rodziny storczyków. Przestraszona tem do najwyższego stopnia zawołałam:

— Proszę mi oddać, kuzynko Maryanno, to do mnie należy

— Co należy do ciebie Teodoro? udając zapytała że nie rozumie.

— List który podniosłaś z ziemi.

— Jakto! czy rzeczywiście utrzymujesz że ten list wyraźnie męzką pisany ręką należy do ciebie? zapytała pokazując mi go z daleka, jak gdyby dla przekonania mnie że mówi prawdę.

— To nie jest pismo męzkie, odpowiedziałam (czując, niestety! że w to nie może uwierzyć). Jest to list od mojej przyjaciółki, panny d'Alvan.

— Pismo panny d'Alvan zupełnie niepodobne do kobiecego, odpowiedziała obracając list na wszystkie strony.

— Wszakże Felicya przysłała ten list panie Moore? zawołałam zapominając że tym sposobem zdradzam po części jego tajemnicę.

Pan Moore udał że nie słyszy. Czuł że nabawił mnie znów ciężkiego kłopotu, i zapewnie ubolewał nad tem szczerze, ale nie chciał i nie mógł przyznać się do współudziału w tej sprawie; zresztą ja sama zaledwie wymówiłam te słowa, już gniewałam się na siebie że odezwałam się tak niebacznie.

— Widzisz Teodoro, że pan Moore nie chce potwierdzić słów twoich, jakkolwiek pewna jestem że wie równie dobrze jak ty kto ten list napisał. Co do mnie, jestem przekonana, że jeżeli nie chcesz mówić wbrew prawdzie, to nie będziesz obstawać dłużej przy tem że to jest pismo kobiece.

Gdy to mówiła, przyszło mi na myśl że może dawniej nieraz widziała pismo mojego ojca, i że teraz mogłaby je poznać przypatrując się tak długo: dla tego też zawołałam z gniewem:

— Mniejsza o to czy to jest list od kobiety czy od mężczyzny, dość że nie do ciebie kuzynko Maryanno, nie masz więc prawa zatrzymywać go dłużej. Proszę oddać mi go natychmiast.

Te słowa wyrzeczone podniesionym głosem, zwróciły uwagę babuni, która też zbliżyła się do nas i zapytała o co nam idzie.

— Kuzynka Maryanna podniosła list który upuściłam, i nie chce mi go oddać, zawołałam z żywocią.

— O! to być nie może, moje dziecię, rzekła babunia pojednawczym tonem, Maryanna zapewnie żartuje.

— W takim razie byłby to żart bardzo niewłaściwy, odpowiedziałam. Proszę o mój list!

— Panie Moore, czy powiedziałam że go nie oddam? rzekła podając mi ten nieszczęsny bilecik.

Ale jeżeli pan Moore nie mógł stanąć w mojej obronie, to nie miał także ochoty potakiwać mojej przeciwniczce, i dla tego też nie odpowiedział ani słowa.

— Przepraszam, rzekła ostro kuzynka Maryanna, i wyznaję że popełniłam niedorzeczność, powołując się w tej sprawie na świadectwo pana.

Odpowiedział jej wtenczas że postanowił sobie uroczyście nie brać udziału w sprzeczkach toczących się między damami, więc i teraz nie może odstąpić od tej zasady.

— No, no! uspokójcie się, nie lubię sporów i waśni, a czas już wracać do domu, odezwała się lady Halsted.

Wsunęłam list do kieszeni, podałam rękę babce, i wyszłyśmy razem pozostawiając pana Moore z kuzynką Maryanną. Ale skoro tylko weszłyśmy do pałacu, udałam się do mego pokoju, wyjęłam list z kieszeni, i rozdarłam z gniewem kopertę.

Jak to przewidywałam, ojciec mój dowiedział się od Felicyi że jestem narzeczoną doktora Ford, i postanowił wyciągnąć z tego korzyść dla siebie. List był bardzo czuły, to jest, wydałby się z pewnością takim każdemu, ktoby nie wiedział jak samolubne podyktowały go pobódki. Co do mnie, nie widziałam w nim nic prócz nikczemności. Ten człowiek którego nie mogłam bez bolesnego uczucia nazwać ojcem, nazywał mnie swojem ukochanem, jedynem dzieckiem, jedyną drogą mu istotą na świecie, a z którą jednak rozłączył go los okrutny.

Opływałam w zbytkach, miałam wszystko co może uprzyjemnić życie, pozyskałam najwyższe szczęście na ziemi, i on cieszył się z tego; ale czy też choć czasem wspomniałam o nim? czy pamiętałam jeszcze te dni w których mogliśmy się spotykać, w których opowiedział mi smutne dzieje swego życia? A jeżeli nie zapomniałam jeszcze o nim zupełnie, czy z przyjemnością odbieram wiadomości od tego, który o mnie tylko myśli? Potem następowały szczegóły z jego obecnego życia, szczegóły skreślone w ten sposób aby przedstawiały rażącą sprzeczność z mojem przyjemnem i zbytkownem życiem, przerywał sobie jednak często ten opis zapewnieniami, że dopóki ja jestem szczęśliwą, wszystko zresztą jest dla niego obojętnem. Wyjąwszy, powinien był dodać, pieniędzy które potrafił już wyłudzić odemnie, tem więcej że parę razy uczynił wzmiankę o ich nic nieznaczącej ilości.

Nakoniec wystąpił z żądaniem, które przewidywałam zresztą, abym mu pożyczyła pieniędzy, a ponieważ w pierwszej części listu przestrzegał mnie że jako małoletnia potrzebuje, chcąc iść za mąż, otrzymać zezwolenie tego który sam tylko ma prawo rozrządzać moim losem, zrozumiałam że ta jego prośba jest raczej rozkazem, i że w razie gdybym okazała się nieposłuszną nie pozwoli mi zaślubić Ulryka.

Jednak, pomimo że właśnie tak bardzo obawiałam się podobnego listu, teraz kiedy go już odebrałam nie przestraszył mnie wcale, a co dziwniejsza, nie wzbudził we mnie obawy o dalsze jego następstwa. Oburzyły mnie te nikczemne pogróżki któremi starano się zmusić mnie do szczodrobliwości, dla tego też zaraz po przeczytaniu listu podarłam go na najdrobniejsze kawałki i podeptałam nogami; nigdy jeszcze nie uniosłam się gniewem do tego stopnia, ale skoro pomyślałam ile już cierpień ściągnęło na mnie samolubstwo tego człowieka, i ile jeszcze może ściągnąć w przyszłości, oburzenie moje nie znało już granic i byłabym tak samo postąpiła nawet w jego obecności.

Przestałam się go obawiać, a zaczynałam nienawidzić, bo widziałam że byle jemu nie zbywało na niczem, małoby go obchodziły choćby najsroższe cierpienia jego *ukochanego dziecięcia*. Nie mógł zapomnieć ile kiedyś łez wylałam z jego powodu, skoro nie mogłam zadość uczynić jego żądaniu, wiedział do jak nikczemnych wykrętów zmusił mnie niegdyś swemi groźbami, i teraz zamierza użyć tych samych sposobów!

Chce wyzyskiwać moją miłość uczciwą, chce mnie zniewolić do oszukiwania mego narzeczonego i do nadużywania jego dla mnie szczodrobliwości, chce mnie zmusić abym przyjmując pocałunek męża wykradała mu pieniądze z kieszeni, słowem żąda abym przez wzgląd na niego została zbrodniarką.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 2.

(Dalszy ciąg).

N. 6 i 35. Kapotka czarna aksamitna dla małej dziewczynki.



N. 1. Uczesanie głowy z karbowanemi włosami z przodu. Tył głowy na ryc. 3, gałązka kwiatów na ryc. 6.
N. 2. Kołnierz chusteczkowy. Krój Nr VI, Fig. 18.

Główka ułożona z okrągłego kawałka aksamitu, 24 cent. średnicy mającego, podłożonego sztywnym muślinem i jedwabną podszewką, sfałdowanego z brzegów do 42 cent. obwodu. Na rondko potrzeba skośnego kawałka aksamitu, 106 cent. długiego, 6 szerokiego, podszytego ponsowym atłasem i przemarszczonego trzy razy na drut; pierwszy drut jest 42 cent., środkowy 50 a brzeżny 58 cent. długi, nagłówek liczy 2 cent. szerokości. Przybranie dane z ponsowej atłasowej wstążki 3 cent. a końce z 6 cent. szerokiej.



N. 5. Kapelusz biały filcowy. N. 6. Kapelusz aksamitny. Ubranie tylne zobaczyć na ryc. 35 i 36.



N. 7. Wałek pod głowę ozdobiony robotą macramé, haftem gobelinowym i ażurowemi kratkami. Zobaczyć próbkę roboty na ryc. 28.



N. 3. Ubranie głowy z wpiętemi lokami. Gałązkę kwiatów zobaczyć na ryc. 15.
N. 4. Chusteczka z kapturkiem. Zobaczyć przód na ryc. 42 w N-rze 1. Krój Nr V, Fig. 16 — 17.

N. 7 i 28. Wałek pod głowę.

Środkowy pas wałka składa się naprzemian z wyszycia

N. 8—12. Ubrania wieczororowe i balowe.

N. 8. Suknia ze stanikiem bawetowym.

N. 9. Suknia formą princesse ze stanikiem wyciętym w karo. Krój Nr I, Fig. 1—4. Zobaczyć ryc. 12 i ryc. 55 i 56 w N-rze 1.

N. 10. Suknia ze stanikiem z bawetową baskiną. Zobaczyć rękawy na rycinie 57 i 58 w Nrze 2.

N. 11. Suknia z vêtement.

N. 12. Suknia formą princesse ze stanikiem wyciętym w karo. Zobaczyć przód na ryc. 8.

N. 15. Gałązka z jesiennemi liśćmi, jagodami i sznelą do ubrania głowy ryc. 3.

N. 16. Gałązka róż przepięta pozłacaną, 15 c. długą szpilką podwójną do r. 14.

N. 13. Narożnik do serwetki ryc. 22. Wyszycie ściegiem na dwie strony.

N. 14. Narożnik szlaku do ryc. 22. Ścieg na dwie strony.

ściegiem gobelinowym i kratki ażurowej na płótnie kanwowem szarem; do wyszycia i do przewiązywania kratek użyta filozela niebieska, przez ażury przegląda materya niebieska którą wałek jest pokryty. Po za środkowym pasem dana z brzegów szeroka torsada robotą wiązaną macramé, do której wzory niejednokrotnie podawaliśmy w Tygodniku.

N. 8—12. Ubrania balowe i wieczorowe.

N. 8. Suknia z bawetowym stanikiem.

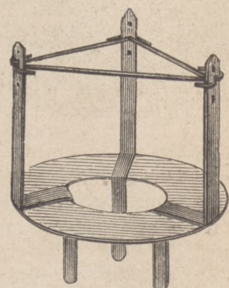
Falbany i tunika białej tiulowej su-

N. 17. Część desenia do ryc. 33 na serwetkę do mebli, w N-rze 1.

przodu śpiczasty plastron tiulowy, układany w kontrafałdy, z boków zakończony riuszą. Wykrój dopełniony wysokim kołnierzem Medicis z atłasu, przysłoniętym riuszą z pięknej koronki danej również przy rękawach. Na szyi opaska ze wstążki atłasowej.

N. 9 i 12. Suknia princesse z wykrojem kwadratowym. Przybranie staników patrz ryc. 55—56 w N-rze 1. Krój na arkuszu Nr I, Fig 1—4a.

Balową suknię wykończoną i ozdobioną odmiennie na ryc. 9 i 12, dopasowywa się podług formy



N. 19. Mosiężny przyrząd do rondelka. Patrz ryc. 18--21.



N. 22. Serwetka „doily." Patrz ryc. 13 i 14 i Fig. 89—90.

N. 18. Przyrząd do gotowania nad lampą, ozdobiony wyszyciem i robotą z perełek. Patrz ryc. 19-21.

kni zdobne są skosami białego atłasu 8 cent. szerokiemi i rzędami wąziutkiej wstążeczki białej. Stanik biały atłasowy z długim bawetem i kwadratowym wykrojem, ma wzdłuż

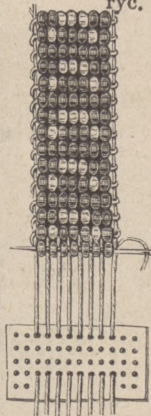


N. 20. Szlaczek perełkowy do ryc. 18. Robota jednakowa na dwie strony. Sposób nawlóczenia perełek.



N. 23. Dywanik do przykrycia stołu. Szlak naturalnej wielkości ryc. 24 i Fig. 84 — 86.

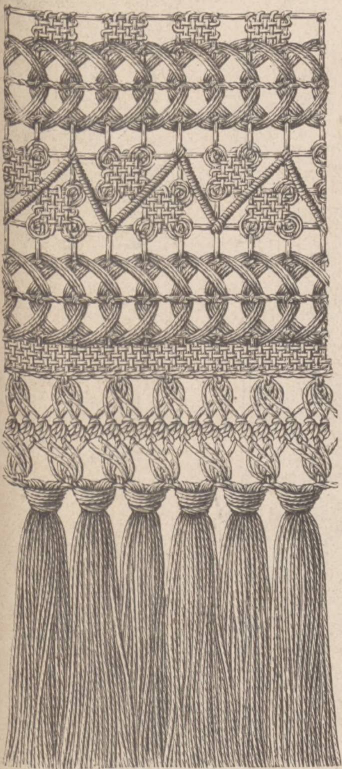
formy Fig. 1 — 4, dając zapięcie z przodu lub z tyłu odpowiednio do gustu. Na rycinie 9 widzimy suknię z blado różowego atłasu przysłoniętą i przybraną gazą w rzucik mille-fleurs; wolant u dołu i plisa przy wykroju



N. 21. Szlaczek perełkowy do ryc. 18. Sposób przeszywania perełek.

N. 24. Szlak do ryc. 23, dalsza część na Fig. 85.

stanika są z atłasu. Kokardy dane skośnie są z podwójnie wziętego atłasu, przepinane kwiatami. Rycina 12 przedstawia suknię z blado żółtego atłasu pokrytą i garnirowaną tiulem tego samego koloru; falbany u dołu



N. 27. Wązki pas do serwety ryc. 25 wraz z zakończeniem torsadki i frendzli

oszyte plisą atłasową. Wykrój stanika oznaczony cienką linją prostą na Fig. 1 i 3, równie głęboki z przodu i z tyłu, do pełniony plisowaniem z illuzyi, otoczony girlandą z kwiatów. Dwa inne przybrania staników odpowiednie również przy formie princesse podaliśmy na rycinach 55 — 56 w N-rze 1.



N. 29. Ubranie dla chłopca lat 2 — 5. Krój na arkuszu Nr VIII, Fig. 20 — 25.

N. 10. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 57—58 w N. 1.

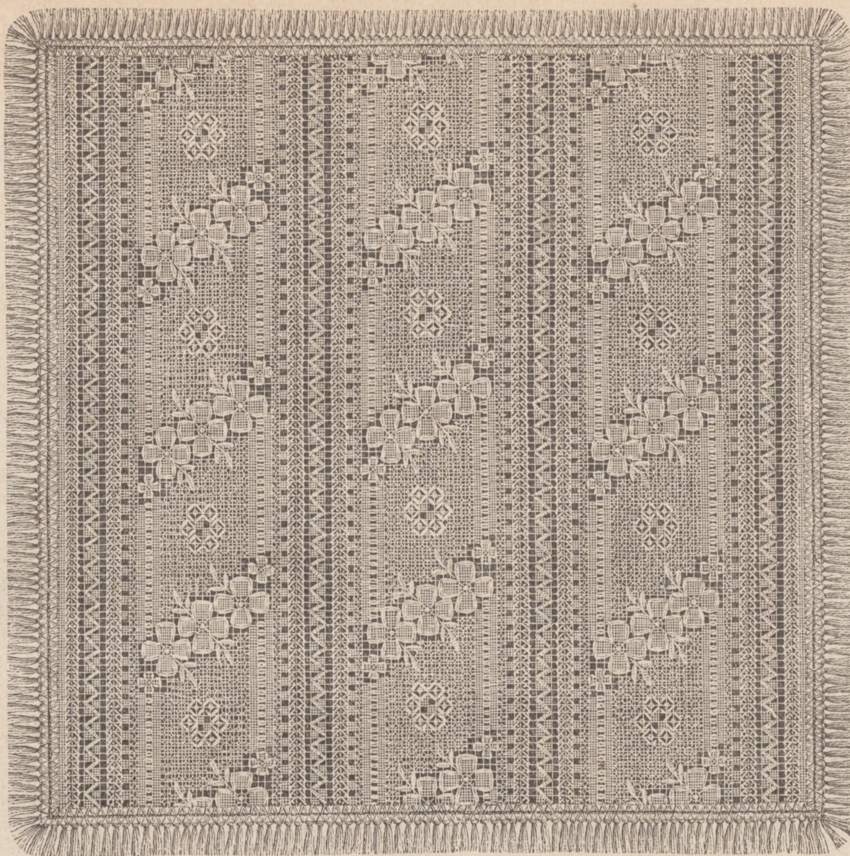
Na sukni kolorowej jedwabnej upięcie dane jest z muślinu; przyozdobienie stanowią wszywki i koronki $4^1/_2$ i 5 cent. szerokie. Plisowanie u dołu sukni obszywane wąziutką koroneczką; stanik naszyty wszywką odrobiony na materyi ma wykrój kwadratowy suto garnirowany falbankami przepiętemi materyą. Rękawy złożone z wszywek i plis jedwabnych 3 centym. szerokich; dwa inne rodzaje przybrania rękawów wskazują ryciny 57 i 58 w N-rze 1.

N. 11. Suknia z vêtement.

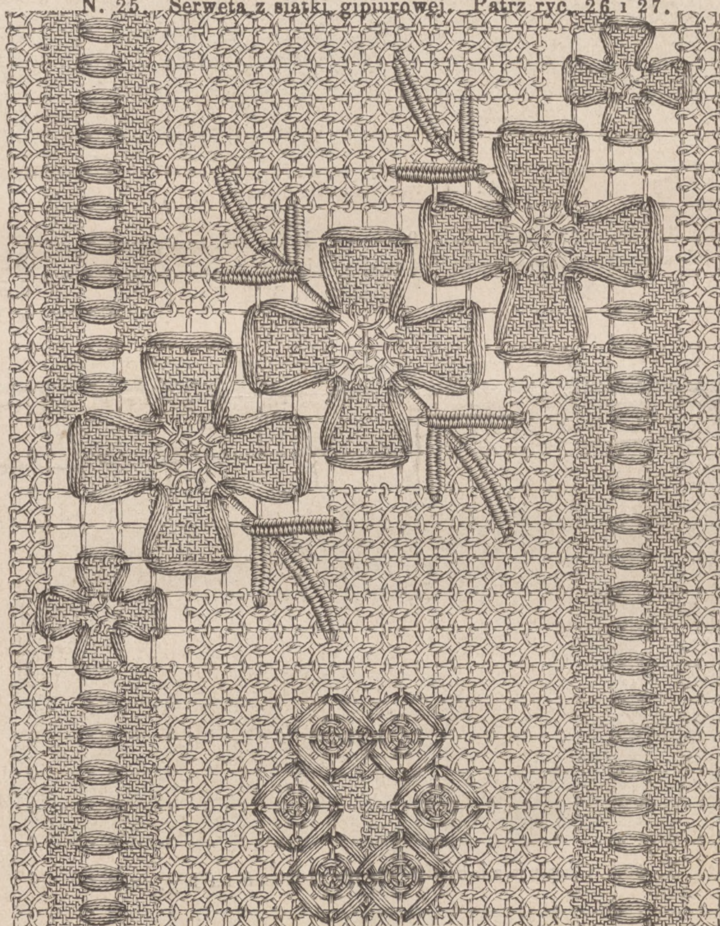
Ubranie to w starożytnym guście odrobione jest z białego kaszmiru i ponsowego pluszu; spódnica cała plisowana naszyta szeroką plisą. Przy vetement podpiętem à panier plisa, epolety i gładkie części rękawów są pluszowe. Pod szyją i u rąk suta riusza koronkowa



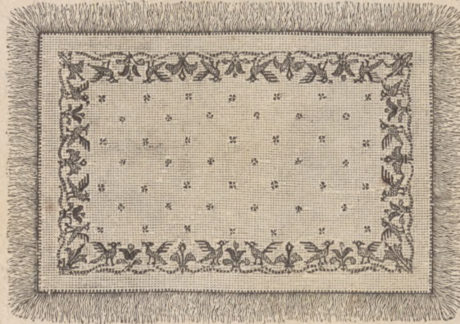
N. 33. Spódniczka z flaneli przybrana materyą surah.



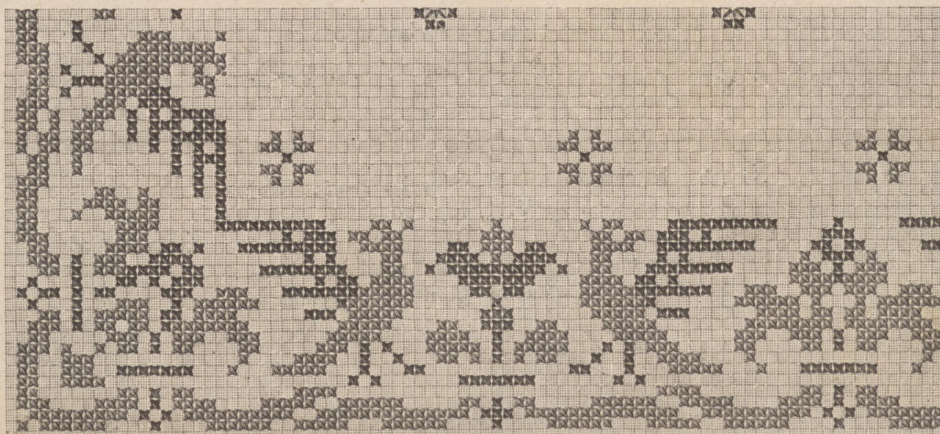
N. 25. Serweta z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 26 i 27.



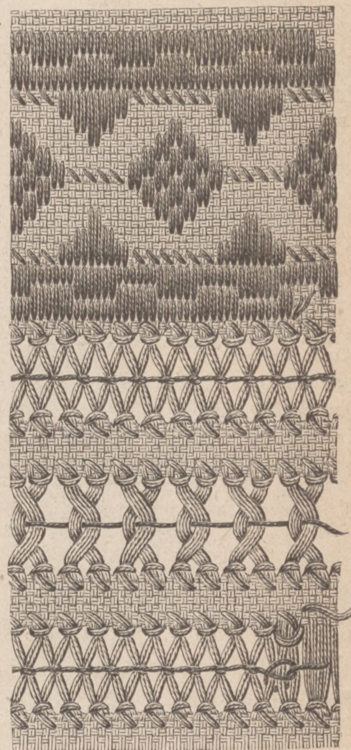
N. 26. Szeroki pas z siatki gipiurowej do serwety ryc. 25.



N. 31. Serwetka z wyszyciem krzyżykowem. Patrz ryc. 32.



N. 32. Szlak wyszyty krzyżykami do ryc. 31.



N. 28. Ścieg gobelinowy i kratka ażurowa do ryc. 7 w N-rze 2.

N. 23—24. Przykrycie na stół. Aplikacya. Deseń na arkuszu Fig. 84 — 86.

Rycina 23 przedstawia przykrycie na piękny stolik z ozdobnemi bokami i nogami, które przykrywa tylko sam blat stolika nic nie spuszczając się na boki. Tło stanowi aksamit ciemno zielony (80 cent. długości, 56 szerokości), aplikacya w pięknym deseniu w stylu renaissance, dana jest z atłasu koloru vieil-or złotego, ponsowego, niebieskiego; sznurek zaś i filozela któremi otoczone są brzegi aplikacyi są złotawo żółtego koloru. Robotę trzeba wszyć w krosienka bo inaczej nie da się gładko odrobić. Rycina 24 załącza część szlaku; Fig. 84 na arkuszu podaje czwartą część deseniu zajmującego całe tło, którego dalszy ciąg wraz z narożnikiem daje Fig. 85.



N. 30. Sukienka dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 38 tudzież ryc. 62 w Nr 1. Krój na arkuszu Nr XIII, Fig. 45—50.

N. 25 — 27. Serweta z siatki gipiurowej.

Tło serwety liczącej w kwadrat 60 cent. jakkolwiek składa się z pasów oddzielnych, stanowi jednak piękną całość, w której zupełnie nie znać



N. 34. Spódniczka atłasowa ze szlakiem pikowanym.

N. 35. Kapelusik czarny aksamitny dla małej dziewczynki.

N. 36. Kapelusik biały filcowy dla małej dziewczynki.

N. 37—41. Ubrania dla dziewczynek.

N. 37. Szlafroczek dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 30 w N-rze 1. Krój na arkuszu Nr XII, Fig. 42—44a.

N. 38. Sukienka dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 30.

N. 39 — 40. Fartuszek zapięty na ramionach dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu Nr VII, Fig. 19.

N. 41. Sukienka princesse dla dziewczynki. Patrz rycina 29 w N-rze 1. Krój na arkuszu Nr XIV, Fig. 51—58.

spajania. Deseń wyszycia i grubość siatki widzimy na ryc. 26 przedstawiającej pas środkowy w naturalnej wielkości, zaś ryc. 27 wskazuje pas węższy wraz z frendzlą, brzegi otaczającą, przywiązywaną do torsadki robionej na widełkach, obrobionej łańcuszkiem szydełkowym.



N. 42. Czaprak zdobny aplikacyą. Deseń na Fig. 83.



N. 43. Serwetka pluszowa zdobna aplikacyą z liści.

N. 29. Ubranie dla chłopczyka lat 2—5. Krój na arkuszu Nr VIII, Fig. 20—25.

Składa się z majteczek, staniczka spodniego i sukienki odrobionych z ciemno bronzowego wełnianego materyału w kratę z nitek ponsowych i żółtych i przybrane jest bronzowym p l u szem. W przodach sukienki dodane 4 i pół centymetra materyału na płas k ą kontrafałdę, środkiem plecówodznaczają się trzy fałdy. Guziki podłużne metalowe.

(d. n.)

N. 44. Okrycie białe (sortie de bal). Krój na arkuszu Nr III, Fig. 10—13.

N. 45. Ubranie balowe z zarzutką i mufką.

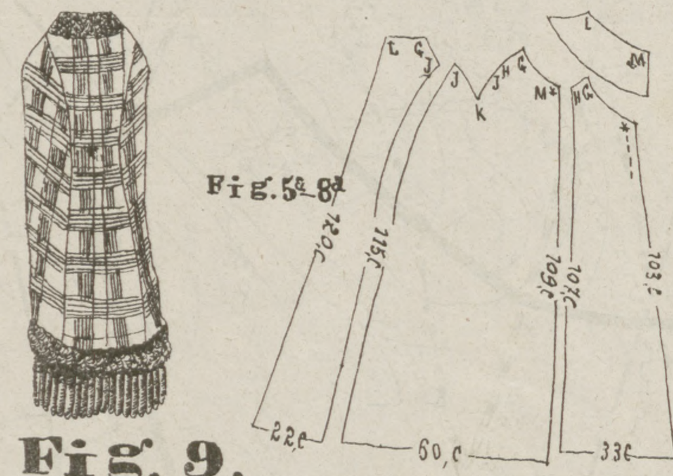
TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 1 i 2.

N. I. *Suknia* formą princesse z wyciętym stanikiem, z odznaczeniem formy stanika z bawetem. Ryc. 55 i 56 w N-rze 1, oraz 9 i 12 w N. 2 Tygodnika.

Fig. 1. Przód (A, C, D, E,)
Fig. 2. Boczek (A, B)
Fig. 3. Plecy (B, C, D)
Fig. 4. Rękawy (E, F)
Fig. 1a—4a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy sukni.



N. II. *Długie* okrycie. Rycina 37 w N-rze 1.

Fig. 5. Przód (G, H * :)
Fig. 6. Boczek zachodzący na przody (G, H, I, K, M, *)
Fig. 7. Plecy (G, I, L)
Fig. 8. Połowa kołnierza (L, M)



Fig. 5a—8a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy do ryc. 37.
Fig. 9. Płaszczyk przedstawiony z tyłu.

N. III. *Sortie de bal.* Rycina 44 w N-rze 2.

Fig. 10. Przód (N, O, P, R) jedno załamanie formy.
Fig. 11. Plecy ze zwierzchnią częścią rękawa (N, O, P, Q) 1-o załamanie formy.
Fig. 12. Spód rękawa (P, Q. R)
Fig 10a—12a. Zmniejszony rysunek formy na okrycie balowe.
Fig. 13. Okrycie balowe podane z tyłu.

N. IV. *Kapturek.* Ryc. 52 w N-rze 1.

Fig. 14. Połowa główki (S, T, ✕, 1 . do 5 . 5)
Fig. 15. Połowa karczka (S, T)

N. V. *Chusteczka* z kapturkiem. Ryc. 42 w N-rze 1 i ryc. 4 w N. 2.

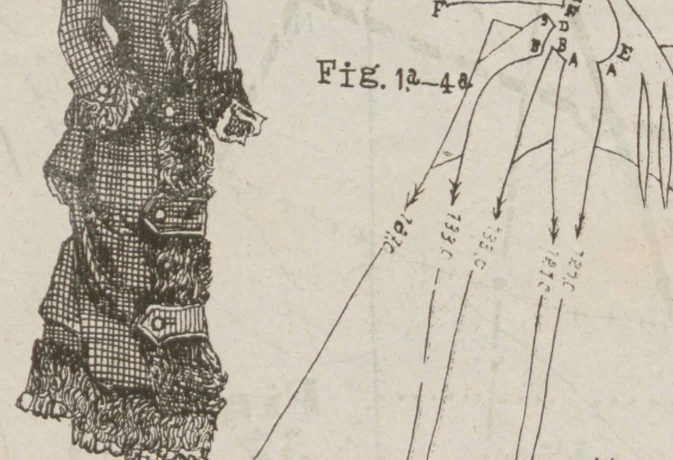
Fig. 16 Przód chusteczki (* : ✕ i ., 6, do ✕ 11 i . 11)
Fig. 17. Połowa kapturka (U, V, *, :)

N. VI. *Kołnierz* chusteczkowy Ryc. 2 w N-rze 2.

Fig. 18. Połowa kołnierza (✕, 12 . 12)

N. VII. *Fartuszek* zapinany na ramionach dla dziewczynki lat 2—4. Ryc. 39 i 40 w N-rze 2.

Fig. 19. Połowa fartuszka.



N. VIII. *Ubranie* dla małego hłopczyka, (majtki stanik i sukienka fałdowana.) Ryc. 29 w N. 2.

Fig. 20. Majtka (a, b, c, d, e, f, g)
Fig. 21. Połowa spodniego staniczka (h, i)
Fig. 22. Przód sukienki (k, l, m, n, o, t)
Fig. 23. Połowa pleców (k, l, m, n, s)
Fig. 24. Rękaw (o, p, q. r)
Fig. 25. Połowa marynarskiego kołnierza (s, t)

N. IX. *Kapturek* Ryc. 36 w N. 1.

Fig. 26. Kapturek (u, v, w, x)
Fig. 27. Połowa środkowego wyłożenia (v, w)

N. X. *Vêtement* do sukni ryc, 1 w N. 1.

Fig. 28. Wskazanie kroju i miary połowy vetément, a przód i boczek przedni, b boczek do pleców, c plecy.
Fig. 29. Przód vetement.

Różne *desenie.*

Fig. 30a 1/4 część d seniu na wieko | Fig. 30b Połowa przedniej strony | Fig. 30c Połowa bocznej strony — Do malowania na drzewie na szkatułkę ryc. 61 w N. 1 Tyg. Mód.
Fig. 31. Szlak z narożnikiem do przykrycia na poręcz do sofy ryc. 33. w N-rze 1.
Fig. 32. Połowa deseniu na woreczek ryc. 60 w N. 1,
Fig. 33. Skrzydło | Fig. 34. Korpus — Do haftu petit point na motyla ryc. 43 w N. 1.
Fig. 35a 35b. Rzut do roboty na tiulu, ryc. 12 w N. 51 z r. 1880.

N. XI. Szlafrok formą princess e z fałdą Watteau. Ryc. 58 w N 1.
Fig. 36. Przód (A, C, D, E, K)
Fig. 37. Boczek (A, B)
Fig. 38. Połowa pleców (B, C, D, I, ✕, 1 . 1)
Fig. 39. Rękaw (E, F, G, H)
Fig. 40. Połowa kapturka (I, K)
Fig. 86 do 40. Zmniejszony rysunek formy szlafroka ryc. 58.
Fig. 41. Widok pleców
N. XII. Szlafroczek dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 1 i 37 w N. 2.
Fig. 42. Przód z odznaczoną linijką formą karczka (L, M, N, O)
Fig. 43. Połowa pleców z odznaczeniem karczka (L, M, N)
Fig. 44. Rękaw (O, P)
Fig. 42a—44a. Zmniejszona forma princesse i model kroju sukienki fałdowanej, w karczek wszytej.

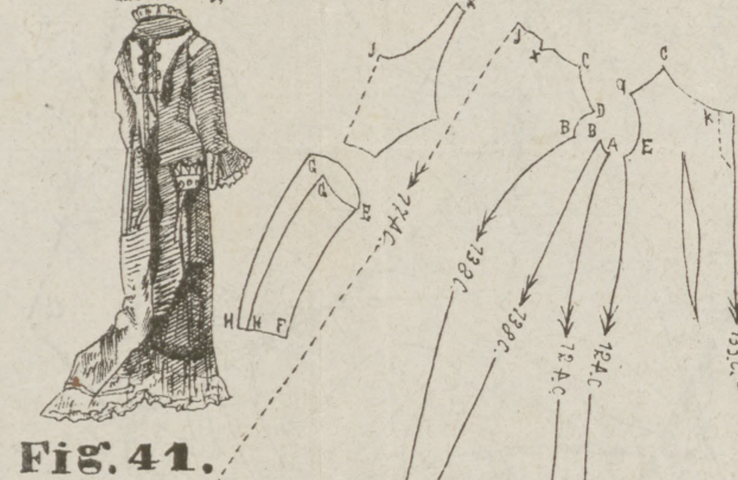


Fig. 41.

N. XIII. Sukienka dla dziewczynki lat 2—4. Ryc. 30 i 88 w N. 2.
Fig. 45. Połowa plastrona (*, : .)
Fig. 46. Przodek (Q, R, U, V, W, *, :)
Fig. 47. Boczek (Q, R, S, T)
Fig. 48. Plecy S, T, U, V, +)
Fig. 49. Rękaw (W, X, Y, Z)
Fig. 50. Połowa kołnierza (+, ·)
N. XIV. Luźna sukienka princesse dla dziewczynki lat 4—6. Ryc. 29 w N 1. i ryc. 41 w N. 2.
Fig. 51. Lewa połowa przodu z oznaczoną linją na brzeg strony prawej (a, b, f, g, h, i, o, *, :)
Fig. 52. Boczek (a, b, c, d)
Fig. 53. Baskina do przodu, z oznacz: kieszonki (d, e, f, +. +. +. +)
Fig. 54. Plecy (c, d, e, g, h, u)
Fig. 55. Rękaw (i, k, l, m)
Fig. 56. Mankiet (k, m, +, ·)
Fig. 57. Połowa kołnierza (n, o) + + +
Fig. 58. Rauwers (*, :)
N. XV. Ubiory dla lalki w N. 1 Tygodnika Mód.
Fig. 59. Połowa plastronu do sukienki ryc. 14—15 w N. 1 (p, q)
Fig. 60. Przód (p, q, r, s, v, w)
Fig. 61. Środkowa połowa pleców (r, s, t, u, v, w)
Fig. 62. Druga część pleców (t, u)
. 63. Rękaw (r, z)
64 a Połowa przodu do fartuszka, ryc. 16 w N. 1. (y, z)
64 b Klin do fartuszka.
5. Przodek do paltota dla lalki, ryc. 22—23 w N. 1 (1, 2, 5. 2, ✕ 2 . 2 do ✕ 3 . 3)
Boczek (1, 2, 3, 4)
Plecy (3, 4, 5, 6, 11) ○ ○ ○
Rękaw (7, 8, 9, 10)
Kaptucek (11. 12, 13, 14) * * *
Połowa główki do kapelusza lalki ryc. 20. (*, :, +)
Połowa ronda (*, :, .)
Połowa karczka (:, +, ·)
, Połowa przedniej i tylnej części stanu do koszuli dziennej r. 26.
4. Połowa przedniej i tylnej części sukienki nocnej ryc. 18 N. 1. (17, 18, 19, 20)
g. 75. Połowa karczka (19, 20)
Fig 76. Rękaw (17, 21)
Fig. 77. Majtki, ryc. 25 (22, 23, 24)
Fig. 78. Połowa denka do czepeczka nocnego ryc. 17 w N. 1. (25, 26)
Fig. 79. Połowa czółka (25, 26, 27)
Fig. 80. Połowa trzewika ryc. 19 (28, 29, +, .)

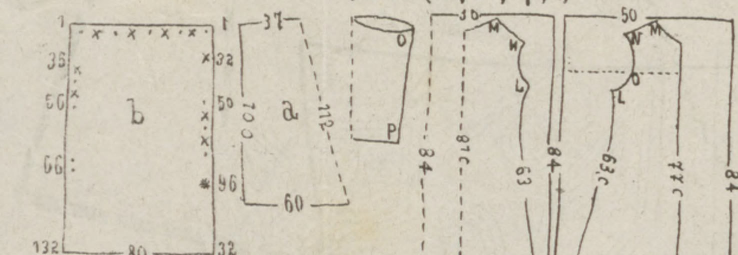


Fig. 82.

N. XVI. Fartuszek z napierśnikiem dla małej dziewczynki. Rycina i opis damy w dalszym Nrze.
Fig. 81. Połowa fartuszka.
N. XVII. Draperya tunikowa do ryc. 38 i 39 w N. 1.
Fig. 82. Model tuniki, *a* połowa przodu, *b* cały bryt tylny.
Różne desenie do rycin w N. 1 i 2 Tygodnika Mód.
Fig. 83. Narożnik do przykrycia do sanek. ryc. 42 w N. 2.
Fig. 84. Deseń środkowy
Fig. 85. Narożnik szlaku } Na dywanik na stół ryc. 22 w 2. Aplikacya.
Fig. 86. Środek szlaku
Fig. 87. Czwarta część desenia na dno do koszyczka. ryc. 44 w N. 1.
Robota koronkowa.
Fig. 88. Rzut do mantylki tiulowej ryc. 13 w N. 51. Cerowanie na tiulu.
Fig. 89 i 90. Figurki do wyszycia na małych herbacianych serwetkach ... ryc. 13, 14 i 22 w N. 2.

Dolna szerokość 60 cent. (fig. 38) Długość tylna 174 cent. (fig. 38) środek pleców (fig. 38)

Długość przednia 77 cent. (fig. 42) Brzeg przedni (fig. 42)